Nr. 45. Lwów, Niedziela dnia 7. Lipca 1878 r. Tom VII.

# TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

## NARODOWOŚĆ POLSKA

### POD PANOWANIEM NIEMIECKIEM

przez

KAROLA LIBELTA.*)

Traktat wiedeński 1815 r. uregulował, jak wiadomo, stosunki i prawa narodowości polskiej, w trzech mocarstwach zaborczych. Car Aleksander I. przyjął wówczas tytuł króla polskiego, i nadał tak nazwanej Kongresówce osobną konstytucyę. Narodowość polska pod rządami Prus i Austryi zostająca nie tak prędko doczekała się reprezentacyi stanowej, i traktowaną była rozporządzeniami ministeryalnemi i rejencyjnemi, coraz mniej uwzględniającemi gwarancye traktatu wiedeńskiego. Wszakże wyłączając politykę z rozpraw naszych, pozostawić musimy sejmującym posłom upominanie się u rządów niemieckich o przysługujące im polityczne prawa dla ziem niegdyś polskich, a sami uważać będziemy przedmiot nasz li ze społecznego stanowiska.

Nie masz narodu bez narodowości. A w tem orzeczeniu, wypowiadamy wszystko, co narodowość stanowi. Czem się naród jeden od drugiego wyróżnia, tem się wyróżnia i jedna narodowość od drugiej. W niej są złożone wszystkie właściwości i odrębności, które się w kolei wieków złożyły na urobienie takiego a nie innego narodu, nadające mu osobne dzieje polityczne i społeczne, osobny język, osobne prawodawstwo, osobną cywilizacyą, jemu tylko właściwe zwyczaje i obyczaje, a nawet odznaczające go właściwą narodową fizyognomią, temperamentem i zdolnościami. Jest to obszerne pole właściwości narodowych, w które się tu wdawać nie będziemy. Mają one jeszcze inną, ile nam się zdaje interesowniejszą stronę. Zważywszy, że narodowość jest albo zupełna, gdy się dorobiła żywota udzielnego i niepodległego; albo częściowa, gdy się ogranicza na pojawach wewnętrznego tylko życia — a takiem jest stanowisko ludów słowiańskich podległych szczepom germańskim — nastręcza się mimowolnie pytanie, jakie są warunki jej istnienia po za prawami politycznemi, wśród obcego, panującego nad nią żywiołu.

Jeżeli chodzi nie o konserwacyę, albo o rozwój naturalny plemienia słowiańskiego, ale o walkę moralną pomiędzy niem a panującem plemieniem germańskiem, które w dumie i poczuciu siły woła: umykaj z drogi, abym ja się tam rozmogło (ôte toi, que je m'y place); to rzecz naturalna, że pomijając polityczne względy i rozporządzenia, walka ta będzie musiała mieć charakter cywilizacyjny, to jest będzie walką duchową inteligencyi z niewiadomością, przemysłu i fabryk z robotą ręczną, handlu z kupczeniem i przekupstwem, dobrobytu i zamożności z biedą i słabością, w ogóle walka światła z ciemnotą. Po której stronie będzie zwycięztwo, łatwo przewidzieć. Jest to tylko kwestya czasu.

Gdy władze niemieckie wszystkiemi drogami i środkami starają się o podwyższenie i szerzenie w krajach swoich inteligencyi niemieckiej, a innoplemieńców o tyle tylko do niej przypuszczają, o ile ci ją chcą nabywać przy pomocy języka sobie obcego i kultury sobie obcej, wynika ztąd bezpośrednio, że warunkiem głównym istnienia Słowiańszczyzny wśród Niemców, jest oświata, i to podwójna oświata, co niezmiernie utrudnia Słowian stanowisko. Raz muszą postępować z oświatą ogólną, zdobywając ją sobie z wielkim trudem, po szkołach, gimnazyach i uniwersytetach niemieckich, a potem sprawować, jak inni, urzędy gminne, sądowe, nauczycielskie, administracyjne, wojskowe itp.; powtóre muszą sobie i to własnym zabiegiem i staraniem, zdobywać oświatę rodzimą, opartą na znajomości języka, dziejów, sztuki i piśmiennictwa swojskiego, aby módz pole to oświaty narodowej dalej uprawiać i podnosić, a ile być może stawić na wysokości kultury ogólnej.

Otóż nauka i jeszcze raz nauka, czyli oświecenie, jest koniecznym warunkiem narodowości naszej wśród Niemców, jeżeli takowa ma żyć, istnieć i mieć przyszłość żywota. Czem jest żywa wiara dla religii, tem jest gorąca rodzima oświata dla narodowości. Przeciwko jednej i przeciwko drugiej i bramy piekielne nie przemogą, bo nad wszystko potężniejszą jest życiodajna miłość.

Lud ciemny, to masa bezwładna, ale w tej bezwładności konserwatywna niesłychanie, jeżeli odrębna i przez obce żywioły nie nagabana. Zachowa do późnych pokoleń obyczaj narodowy, język, i te same cechy domowego i religijnego pożycia. Burze polityczne i wojenne, obalające wszystko co wzniosłe i wydatne, przechodzą po nad ludem niepostrzeżenie, i zaledwie się w tradycyach jego przechowują. Ale to nie dosyć. Mało tu podstawy, którą daje znajomość przeszłości; mało światła, które roztacza inteligencya w przyszłość. Jest to wegetacya nie bujna, urodzajna roślinność. Lud wiejski chronił się dotąd od powinowactwa i pokrewieństwa z innoplemieńcami, i obcy język nie wkradł się pod domową strzechę jego. Lud miejski po małych i większych miastach, gdzie napływ germanizmu znaczny, już i na drodze związków małżeńskich poczyna się z nim łączyć. A jeżeli dawniej stadła tego rodzaju polszczały, dziś z bardzo naturalnych względów niemczeją. Rzadkie to jeszcze przypadki, bo i różność religii i przedział, jaki się między obu ludnościami utworzył, stawiają takim związkom zawady. Wszakże z czasem, jeżeli rodzima oświata i zamiłowanie narodowości temu nie zagrodzi, wkraść się i rozgościć się może spokrewnienie z innoplemieńcami i germanizm zapuści niebezpieczne korzenie swoje w rodzinne i familijne koła tubylców. Najwięcej zaś na przenarodowienie się narażone są wyższe stany, dla rozległych ich stosunków i pewnego kosmopolitycznego wychowania.

(W tem miejscu brak części rękopismu.)

Wykształcenie jego powinno być narodowe. W tym samym celu naród niemiecki traktuje innoplemienne poddane sobie pokolenia, na rodzimych siedliskach swoich osiadłe. Z tą jedną, wielką różnicą, że komisya edukacyjna miała zamiar Polaków narodowić, zaś rząd niemiecki ich przenarodowić zamierza.

*) Artykuł ten jest jedną z ostatnich prac ś. p. Karola Libelta.

Wobec wrogiej nam polityki panującego rządu, (może zkądinąd dlań utylitarnej, jeżeli jest możliwem, aby cel przenarodowienia Słowian na Germanów dał się przeprowadzić); wobec tej polityki, szkolne wychowanie nasze nie może się posługiwać czynnikami narodowemi, rodzimym językiem i nauczycielami współrodakami. Galicya i Kraków dobiera się dopiero teraz rodzimego języka po gimnazyach i uniwersytetach. Dotąd język łaciński i niemiecki był wykładowym.

W Prusiech o utworzeniu uniwersytetu polskiego, a choćby tylko polsko-niemieckiego, i mowy być nie może, chociaż dwa miliony Polaków, osiadłych w dzielnicach niegdyś polskich, a teraz pruskich, na takie uwzględnienie by zasługiwały. Same już tylko szkoły elementarne i niższe klasy gimnazyalne i realne ratowaćby należało. Młódź polska, która do nich uczęszcza, wychodząc z domu rodzinnego, nie zna panującego języka, jakże w nim pojmować ma nauki! Sprawiedliwość boska i ludzka nakazywałyby uwzględniać potrzebę tej dziatwy nieszczęśliwej, aby jej rodzimym językiem umożliwić i ulżyć pojmowanie elementarnych i religijnych nauk. Ale czasy najnowsze pokazały, że i w Niemczech względy słuszności i sprawiedliwości ustępować muszą wyższym celom politycznym, dążącym do spojenia w jednolity niemiecki naród, różnoplemiennych ludności berłu niemieckiemu podległych.

Na szczęście nie szkolnictwem samem narodowość się krzewi. Nieskończenie większy wpływ pod tym względem wywiera wychowanie domowe, i obcowanie w kole współplemiennych rówienników. Pod względem uczucia i pierwotnych duchowych wrażeń jest wychowanie pod okiem rodziców, w gronie rodziny i domowników, głównym warunkiem narodowego ukształcenia. Z tą szybkością, żywotnością, pięknością, weselem i zdrowiem, z jakiemi się dziecięcy i chłopięcy organizm ciała rozwija, rośnie i rozwija się w nim narodowość. Wedle niej ulepia się serce, kształci fantazya i umysł. Dusza zewsząd nasiąka narodowości pokostem, i będzie to niestarta na niej farba. Życie szczero-słowiańskie tu się zagnieżdża. Religijne, zwyczajowe i obyczajowe zapuszcza tu swoje korzenie. Zabawy i gry w kole rówienników są weselem i zdrowiem młodego pokolenia. Pouczania ojca i matki, starszego rodzeństwa, opowiadania starej i przywiązanej czeladki roztwierają wyobrażenia i krzepią pierwsze pojęcia podrastającej dziatwy. Co się tu nabyło, tak szczelnie spoiło się z istotą naszą, że w człowieku przetrwa aż do śmierci, w ludzie utrzymuje się wiekami całemi, a przechowane dotąd obyczaje i nazwy dawnosłowiańskie w zakątku ziemi, dziś już innoplemiennej, bo zniemczonej, dają świadectwo współczesnym, że tu niegdyś była siedziba Słowian, oddawna wyplenionych.

Narodowość póty żyć będzie, póki życie domowe, a z niem i wychowanie domowe narodowy zatrzyma pierwiastek. Najuporniej ona utrzymuje się wśród prostego ludu, niedostępnego obcym wpływom; najłatwiej ginie wśród wyższych warstw społeczeństwa, przyjmujących łatwo naleciałości zagraniczne. Czy przez modę, czy przez źle zrozumianą zasadę wychowania, nanoszą język i obyczaje z obczyzny, obierają z barwy narodowej dom rodzinny, rugują i zacierają wszystko, co jest swojskie. Patrzmy, co się dzieje na emigracyi, gdzie żona francuzka i obyczaj francuski, nadają takiż koloryt całej rodzinie, acz ojciec do gorliwych nieraz naszych współrodaków się liczy.

Obok domowego wychowania działa wiele skuteczniej jeszcze częste i liczne obcowanie z rówiennikami wieku tej samej narodowości. Pod tym względem szkoły publiczne przenosić trzeba nad prywatne kształcenie młodzieży. Choćby to były szkoły obce, z wykładem obcojęzycznym, to byle uczniowie, czy w części, czy w większości, byli sobie współrodakami, już ich przechadzki i gry koleżeńskie sparaliżują zgubny wpływ kształcenia antinarodowego; bo tam w tych wspólnych zabawach rozbudza się z całą żywością i gorącością lat młodych i język rodzinny i cały ogromny zasób wpływów narodowych, które każdy z uczącej się młodzieży wyniósł z domu swego, a teraz temi uczuciami wspólnie, bezwiednie się obdzielają.

Temi dwoma silniami narodowego żywota, które wychodzą z domu i koleżeństwa, zastawiać się powinni rodzice, jeżeli im ze strony ustaw niemieckich grozi niebezpieczeństwo wynarodowienia ich dzieci przez nieprzyjazne słowiańskim kierunkom niemieckie szkolnictwo. Są to dwa potężne środki przeciw wszelkim antinarodowym wpływom, zkądkolwiek takowe pochodzą. Uczmy się każdego języka wykształconego, bo o ile człowiek więcej języków posiada, o tyle więcej razy jest człowiekiem. Uczmy się przedewszystkiem i języka panującego, jako niezbędnie nam potrzebnego. Ale dla tego nie rugujmy używania i znajomości własnej ojczystej mowy, ani zaniedbujmy reszty narodowych pamiątek naszych, pozostałych nam w spadku po wielkich ojcach i niepodległej niegdyś ojczyźnie naszej.

(C. d. n.)

---

# ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

**POWIEŚĆ**

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

*(Ciąg dalszy.)*

## VII.

Z powrotem Leszczycowej do zdrowia, szczupłe gronko, które dotąd otaczało jej łóżko, przeniosło się teraz pod okno, gdzie stały krosna, i wróciły znowu dawne wesołe pogawędki, czytanie a czasem i wspólne spacery wzdłuż rzeki ku cmentarzowi. Cmentarz leżał za rzeką na pochyłości wzgórza, tuż naprzeciw miasta, nieduży most łączył miasto żywych z miastem umarłych. Wzgórza zdawały się rywalizować ze sobą; jedno drugiemu odbierało mieszkańców. Niektóre familie całkiem już przeniosły się „za most,“ a jedyna pamięć po nich pozostała we wspaniałych grobowcach. Bo mieszkańcy miasteczka dbali byli nadzwyczaj o swoją nieśmiertelność, a nie mając sposobności na nią innym sposobem zasłużyć sobie, chcieli przynajmniej grobowcami utrwalić się w pamięci ludzkiej; w skutek tego cmentarz zapełnił się posągami wykonywanemi przez miejscowego kamieniarza, pomnikami najrozmaitszych kształtów i fantazyi, niektórzy nawet kapliczki stawiali na grobowcach, a że do tego cmentarz był pełen drzew i zieloności; więc rzeczywiście z daleka robił wrażenie miasteczka bardzo schludnego i misternego i nie jeden podróżny jadąc do miasta, wahał się, czy ma na prawo, czy na lewo się obrócić.

Cmentarz leżał o wiele wyżej, niż miasto, górował nad nim, ztąd też był on ulubionem miejscem spacerów dla lubowników natury, bo z niego, szczególniej z wałów otaczających go, rozległy i wspaniały roztaczał się widok na dolinę zasianą lasami, wioskami, wśród których wiła się kręto rzeka, połyskując jak zwierciadło w słońcu i gubiła się między górami za sinem przeźroczem.

W miasteczku jednak nie wielu było lubowników natury, bo miejsce to bardzo rzadko było odwiedzane. Główne spacery mieszkańców miasteczka odbywały się w stronę dworca kolejowego. Na tej przestrzeni panie prezentowały „światu“ swoje nowe toalety, oglądały się wzajemnie i obmawiały, a panowie spieszyli do piwiarni i kręgielni, którą urzędnicy kolejowi wystawili.

Cmentarz więc był wolny od najazdów wielkiego świata małego miasteczka, tylko uboższa ludność w niedzielę zapełniała go dość licznie łażąc po grobach, odczytując a raczej sylabizując nazwiska na grobowcach i stosownie do prośb wypisanych czarnemi lub złotemi literami, wzdychając za dusze nieboszczyków. Te niedzielne wizyty uboższej klasy zdyskredytowały zupełnie cmentarz w oczach patrycyatu miejskiego i nie było nawet w dobrym tonie pokazywać się tam, chyba w niespodziewanych wypadkach śmierci jakiego dygnitarza miejskiego. Było więc tam tawsze cicho, ustronnie. Ptactwo tylko trzepotało się po drzewach, świergoliło i ożywiało ciszę umarłego miasteczka. Jeden dziad stary pilnował go i to nie zawsze, bo częściej można go było spotkać w karczmie u spodu wzgórza, gdzie przepijał wszystkie grosze zebrane za dusze zmarłe. Właśnie dla tej ustronności i ciszy spacery Leszczyców kierowały się najczęściej w tę stronę; szczególniej stary Leszczyc, który był usposobienia nieco melancholicznego, unikał towarzystwa ludzi, bo wśród nich czuł się skrępowany i nie swój, upodobał sobie nadzwyczaj cmentarz. Przesiadywał tam nieraz całe godziny, wałęsał się wśród grobów zarosłych trawą, jakby tam szukał dla swoich kości wygodnego spoczynku po śmierci. Nawet nieraz, kiedy mógł w towarzystwie syna i żony, których przecież tak kochał, przepędzić wolne chwile, uciekał z domu na cmentarz szukając samotności i ciszy. Często wśród najweselszej rozmowy stawał się nagle smutnym, wstawał i wychodził. Syna dziwiło to nie mało, nieraz pytał matki o przyczynę; ale zbywała go wymijającemi odpowiedziami, choć wzrok pełen współczucia, jaki wysyłała za mężem wychodzącym z domu, wskazywał jasno, że nie obcą jej była przyczyna tej nagłej zmiany humoru jego.

Tak właśnie jednego dnia, kiedy siedzieli razem w pokoju matki i żydóweczka była tam także, stary Leszczyc wśród tego, kiedy syn jego czytał, wysunął się z pokoju. Poszedł do siebie: ale tam nie długo zabawił, wziął tylko kapelusz i udał się zwykłą drogą ku cmentarzowi.

Kiedy się tam zbliżał, za wałem cmentarnym stało dwóch ludzi. Byli to ci sami żydzi, których Jan widział w czasie owej burzliwej nocy w karczmie za miastem. Jeden z nich ów starszy, szpakowaty, czytał jakiś

list i podrzucał co chwila niespokojnie ramieniem. Drugi bawił się rzemieniem torby podróżnej, którą miał przewieszoną przez plecy i od czasu do czasu poglądał na twarz starszego, jakby chciał wyczytać na niej myśli lub oczekiwał niecierpliwie końca czytania.

Leszczyc nie widział ich, bo szedł z głową pochyloną ku ziemi i coś sam ze sobą rozmawiał, gestykulując rękami. Ale oni go dojrzeli, a mianowicie młodszy, widząc, że zamierza prosto ku cmentarzowi, odezwał się do starszego:

— Ktoś tu idzie.

Żyd przerwał czytanie i spojrzał niespokojnie na drogę.

— Usuńmy się — rzekł i kiwnąwszy na towarzysza poszedł ulicą wysadzaną świerkami za kaplicę, następnie skryli się w klomb drzew i krzaków. Miejsce to jeszcze się niedość widać bezpiecznie wydawało żydowi na kryjówkę, bo spostrzegłszy przez krzaki jakiś opustoszały domek, odezwał się:

— Chodźmy lepiej tam; tam będziemy mogli bezpiecznie pogadać o interesie.

I niebawem zniknęli obaj w ruderze, do której widocznie nikt dawno nie zachodził, bo ścieżka do niej zarosła była zielskiem wysokiem. Była to niegdyś kostnica, ale od czasu jak z fundacyi jednego z mieszczan wybudowano nową, ta stała pustką. Żydzi wygodnie w niej się usadowili na jakieś starej belce i poczęli zniżonym głosem rozmawiać.

Tymczasem stary Leszczyc przeszedłszy uliczkę, co wiodła wzdłuż wału, wydrapał się na niego w tem miejscu, zkąd był widok na miasteczko i usiadł. Twarz miał bardzo smutną i przygnębioną, a oczy czerwone. Musiał niedawno płakać, bo je jeszcze ocierał chustką. Ale myśli, które wyciskały mu łzy z oczów, nie mógł zapewne wytrzeć tak łatwo, bo na nowo płakać zaczął. Płakał jak dziecko łkając a wśród płaczu słychać było od czasu do czasu pojedyńcze słowa, które mu się z trudnością przeciskały przez ściśnione gardło.

— Co on powie na to, gdy się dowie. Nie mam odwagi powiedzieć mu tego; ani ona. A jednak trzeba. Ja przed dzieckiem nie mogę mieć tajemnic. Trzeba, żeby wiedział wszystko. A jeżeli nie uwierzy? O, to byłoby okropne.

I znowu zaniósł się płaczem. Bolesnym był widok tego staruszka płaczącego. U dzieci to rzecz zwyczajna, u starszych rozrzewniająca, ale starzec płaczący, to coś takiego, co serce rozdziera. Straszna to musi być boleść, która z wyschłego staruszka łzy jeszcze dobywać umie. Zda się człowiekowi, że te resztki łez, wyrywane gdzieś tam z głębi, krwią opłyną, jak ślina suchotnika.

Nikt jednak nie słyszał ani widział płaczu starowiny, prócz tego nieba błękitnego na którem ledziuchne, białe obłoczki się karbowały, prócz krzyża z pozłacanym Chrystusem na jakimś grobowcu, od którego promień słońca odbijając się mocnym blaskiem, tworzył rodzaj złocistej aureoli.

Leszczyc co chwila nos siąkał, oczy obcierał, a utamować nie mógł płaczu. Gdy wtem naraz przez łzy dojrzał, że pod górę ku cmentarzowi idzie kilka osób. Przyłożył rękę do czoła, zasłaniając oczy od światła, by mógł się lepiej przypatrzyć i w nadchodzących poznał syna, żonę i żydóweczkę. Zerwał się wylękły i zsunął się z wału do wnętrza cmentarza. Chciał się koniecznie ukryć przed nimi, bo nie podobna było pokazywać im się z oczami zaczerwienionemi od płaczu. Musiał taić się z boleścią swoją. Szedł więc spiesznie przez cmentarz szukając niespokojnie oczami miejsca, gdzieby się schować. Zatrzymał się także w klombie, jak to przed tem zrobili żydzi; ale pusta kostnica, którą ztąd widno było, pociągnęła go także ku sobie. Wszedł do niej szybko w chwili, gdy dwaj żydzi, którzy się tam przedtem skryli, siedzieli pochyleni nad jakimś papierem. Wejście obcego człowieka spłoszyło ich. Zerwali się na równe nogi i rzucili się ku drzwiom chcąc uciekać. Wtedy to starszy żyd zderzył się oko w oko z Leszczycem. Spojrzenia ich jak błyskawice skrzyżowały się i jakby ich sparaliżowały na miejscu, unieruchomieli patrząc się w oczy jeden drugiemu w milczeniu głuchem. Pierwszy ocknął się Leszczyc, obrzucił raz jeszcze wystraszonym wzrokiem żyda, wyszeptał:

— Grünwald — i odwróciwszy się z obrzydzeniem od niego począł szybko uciekać.

— Zna cię — odezwał się rudy żyd do swego towarzysza, który jeszcze stał nieruchomy, a z oczów niespokojnie latających widać było, że myśl jego nad czemś frasowała usilnie w tej chwili.

— Któż to był? — odezwał się znowu rudy żyd.

— Tak, to on — mówił drugi trąc ręką czoło w zamyśleniu, jakby sobie coś powoli przypominał — to on.

— Kto taki?

— Górski. Trudno mi było poznać go od razu, bo nie ma teraz brody ani wąsów; ale po tej szramie nad okiem i po oczach, o! po oczach poznałem go najwięcej. Te oczy utkwiły mi w pamięci, choć to będzie może ze dwadzieścia lat jakeśmy się znali.

— Więc nasz?

— I nasz i nie nasz.

— Jakto?

— Pst! — zawołał nagle żyd dając znak towarzyszowi, aby milczał — jakieś głosy słyszę.

— Czy myślisz, że zechce nas wydać?

— Kto go wie. To był bardzo uczciwy człowiek, choć....

Znowu urwał rozmowę i nadsłuchiwał.

— Czym się przesłyszał; ale mi się zdawało, że między temi głosami słyszałem Małkę, cóż? prawda? słyszałeś?

— Tak to jej głos. I kilka innych.

— Przyszła zapewne tu z Leszczycami. No, to nie mamy się czego bać na razie. Trzebaby nam jednak wyjść z tej kryjówki, bo jeżeli ten Górski przypadkiem poszedł do miasta dać znać żandarmom, to nie bardzo tu dla nas bezpiecznie. Czekaj, ja pójdę sam zobaczyć.

Wyszedł z kostnicy oglądając się ostrożnie na wszystkie strony i podnosząc wysoko nogi brodził jak bocian przez zielsko skradając się pod klomb, z za którego mógł widzieć główną uliczkę cmentarza.

Na uliczce tej stało kilka osób, pomiędzy któremi poznał także swoją córkę i zajęci byli właśnie owym człowiekiem, z którym żyd przed chwilą spotkał się w kostnicy. Staruszek był jeszcze wystraszony, nieprzytomny. Matka i syn z troskliwością dopytywali się, co mu jest. Nic nie odpowiedział, tylko niespokojnie oglądał się w tył, jakby się bał, że ktoś gonić go będzie.

— Co ci jest ojcze? Co się stało? — dopytywał Jan. — Czy cię kto przestraszył?

— Marcinie! — mówiła żona łagodnie — upamiętaj się, odpowiedzże nam.

— Zostańcie tu przy nim — odezwał się Jan — ja pójdę zobaczyć.

Te słowa nagle wróciły przytomność staremu; zerwał się, przytrzymał syna za surdut i rzekł prędko:

— Nie chodź tam. Po cóż tam masz iść? Tam nikogo nie ma.

— Więc cóż cię ojcze tak przestraszyło? Przed czem uciekałeś?

— Ale przed niczem. Ot, zląkłem się żaby — mówił usilując się uśmiechnąć. — Wiecie jaki ja tchórz. Wlazłem na jakieś obrzydliwe ropuszysko i małom ze strachu ze skóry nie wyskoczył. O! jak mi jeszcze serce bije.

— Ale ty płakałeś ojcze, masz oczy czerwone.

— Ja czerwone? Zkąd znowu? chyba z kataru, bo katar mam nieznośny — i mówiąc to, począł zapamiętale nos ucierać. A bojąc się, aby syn nowych pytań mu nie zadawał sam zapytywał jego i żonę: co tu porabiają o tej porze.

— Wyszliśmy się przejść trochę tak, jak i ty ojcze.

— I na cmentarz? Toście też sobie spacer wybrali.

— Byliśmy pewni, że ciebie tu zastaniemy. Ty lubisz te miejsca.

— Inna rzecz, ja stary. Mnie już grób się niezadługo patrzy. Zresztą ja tu chodzę więcej z potrzeby, doglądać jak dużo kamieniarze zrobili koło grobu nieboszczki panny prefekty. Dla przyjemności pewniebym tu nie chodził. Tu jakoś tak smutno. Jeżeli się chcecie przejść, to chodźmy ku kolei, tam choć kogoś spotkać można. No, chodźmy, chodźmy.

(C. d. n.)

---

# PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

*(Ciąg dalszy).*

**W cywilizowanem społeczeństwie państwo wtedy tylko może się wdać w życie osobnika, gdy potrzebuje powstrzymać go od szkodzenia innemu. Nie możnaż iść dalej? czy nie można zobowiązać obywatela do działania lub zaniechania czegoś, gdy w jego interesie leży zrobić to lub owo, gdy jego szczęście od tego zawisło, gdy mniemanie powszechne sądzi, że słusznem jest i rozsądnem słuchać w tym względzie władzy? Nie — odpowiada Mill te szczególne powody mogą mieć swoje zalety, lecz nic tu nie upoważnia państwa do działania. Jedna tylko strona naszego zachowania się, mianowicie ta, która innych dotyczy, podlega sądowi społeczeństwa; dotycząca zaś nas samych, naszej tylko podlega juryzdykcyi. Osobnik jest panem siebie, swego ciała i swej duszy, stanowi to jego**

zwierzchnictwo, którego nic postronnego naruszyć nie może.

Istnieje więc dla każdego z nas odrębna dziedzina, w którą społeczeństwo pod groźbą popełnienia niesprawiedliwości wkroczyć nie może, jest to strona życia naszego, która nas samych dotyczy, albo też pośrednio i innych. Oto królestwo wolności. Nic więc nie powinno krępować sumienia i myśli, które są rzeczami czysto osobistemi, nic nie powinno przeszkadzać człowiekowi w wygłaszaniu swego mniemania o jakimkolwiekbądź przedmiocie; nic nie powinno zawadzać człowiekowi w dowolnym wyborze zajęcia, i w urządzeniu życia odpowiednio do tego, jak uzna za dobre, nic także nie powinno wstrzymywać obywatela chcącego stowarzyszyć się z innymi obywatelami w celu łącznego używania swobód osobnikowych. Niech pewne osoby, niechaj większość nawet społeczeństwa uzna zachowanie nasze za szalone, przewrotne, niebezpieczne, mniejsza z tem; póki nie wkraczamy w granicę wolności innego, każdy ma prawo nas zganić, lecz nikt nie ma prawa nam powiedzieć: *Zrobisz albo nie zrobisz tego.*

Każde społeczeństwo nie szanując tych swobód, nie jest społeczeństwem wolnem, jakakolwiek byłaby forma jego rządu. Żadne społeczeństwo nie jest zupełnie wolnem, jeżeli swobody te nie są nieograniczone i bezwarunkowe. Dążyć do własnego dobra drogą, jaką nam się podoba wybrać, i nie obawiać się o tyle, o ile nie wkraczamy w dziedzinę innego, oto jedyna wolność zasługująca na to miano. Reszta zaś to czczy pozór dla pociechy tych, którzy zadawalniają się słowami.

Teorya nie zaprzecza tej zasady, a jednak jak to zauważył Mill, u wszystkich narodów ucywilizowanych daje się spostrzegać skłonność poddania osobnika pod władzę społeczeństwa, za pośrednictwem mniemania powszechnego zarówno jak i siły praw. Pod pewnemi względami w Stanach Zjednoczonych więcej jest nietolerancyi niż w starej Europie. Gdy demokracya sądzi, iż ma słuszność, staje się łatwo despotyczną i nie znosi nawet rozmaitości uczuć. Kryje się tu ziarno tyranii, które zaznacza Mill, i z całą siłą swego talentu protestuje on przeciwko temu najazdowi społecznemu.

Przedewszystkiem broni on wolności myśli i słowa. Na pozór jest to teza filozoficzna, w rzeczywistości zaś jest to wielkie pytanie chwili obecnej, kwestya par excellence praktyczna obejmuje bowiem wolność religijną, swobodę nauczania, i wolność prasy, warunki i rękojmie wszystkich praw.

Mill rozbiera to zagadnienie stanowczo i zręcznie. Wolność myśli i słowa jest dlań prawem nieograniczonem. Gdyby ludzkość cała zgadzała się na jedno, a jeden tylko człowiek stanowił wyjątek, nikt nie miałby prawa nakazać mu milczenie, oświadczając bowiem swoje zdanie używa on własnych zdolności i nie wdziera się w niczyje prawa. Mill idzie dalej. Podług niego zagadnienie to dotyczy tylko praw osobnika, lecz i interesu społecznego. Chcąc dowieść tej prawdy zbyt mało pojmowanej, Mill rozbiera trzy hipotezy, aby okazać, że w żadnym razie nie dobrze jest zmuszać do milczenia tego, kto chce publicznie wygłaszać swe przekonanie.

Najprzód, bardzo być może, że przekonanie to jest prawdziwe, zaprzeczać temu znaczyłoby przywłaszczać sobie nieomylność. Zbyteczną jest zdobywać się na wielkie frazesa, powoływać się na religię, moralność, interes społeczny. Wszak Sokrates skazany został na śmierć jako bezbożnik i psujący młodzież, Jezus Chrystus został ukrzyżowany jako bluźnierca. Czyliż mamy więcej rozumu niż Ateńczycy? Czy jesteśmy bardziej religijni niż żydzi? Kto był jednym z pierwszych prześladowców? Św. Paweł przed swem nawróceniem. Kto męczył chrześcian jako bezbożnych i wichrzycieli? Marek Aureliusz. Czyż podobne przykłady nie powinny uczynić nas bardziej skromnymi i przychylnymi swobodnemu rozstrząsaniu? Ileż prawd dawniejszych nazywamy dziś grubą niedorzecznością. Za lat 20 ileż sądów, dziś mądrych i niepodlegających wątpliwości, uchodzić będzie za stare i niebezpieczne szaleństwa!

Przypuśćmy teraz, że przekonanie wzbronione jest mylne, niemniej jednak może ono zawierać część prawdy, co jest rzeczą zwykłą w wiadomościach ludzkich. Błąd w ogóle jest tylko niedokładnym poglądem na rzeczy, jest to jedna strona prawdy nadmiernie przesadzonej. Nauki polityczne są przeciążone wrzekomemi pewnikami, które nie są ani zupełnie fałszywe, ani zupełnie prawdziwe; wprowadzają nas właśnie w błąd tą mięszaniną słuszności i fałszu. Przeszkadzać swobodnemu rozstrząsaniu znaczy to, skazać nas na wieczne błądzenie pośród tej mięszaniny.

Nareszcie przypuśćmy, że przekonanie przejęte jest prawdą zupełną, przypuśćmy, że jesteśmy o niej najzupełniej przeświadczeni (hipoteza śmiała) i wtedy jeszcze należy przyjąć dyskusyę. Dla czego? oto dla tego, że prawda nie jest czemś zewnętrznem, formułą magiczną, której samo już imię czyni cuda. Aby prawda oddziaływała na nasz umysł, musi ona stać się przekonaniem, przekonanie to musi przeniknąć do naszego serca, i stać się cząstką naszego życia. Lecz tylko sprzeczność okazać nam może takową usługę. Czyliż dzieje nie okazują nam, że wszędzie gdzie odszczepieństwo prześladowano, wiara osłabła? Czyliż niewidzimy, że wszędzie gdzie prasa milczy, następuje zepsucie, a w ślad za nim upadek? Nie ma prawdy bez błędu, jak nie ma światła bez cienia. Zgasić jedno z nich, znaczy to zgasić oboje.

Przypadkowo wraca Mill właściwą wartość pewnemu sofizmatowi, który jakkolwiek modny nie mniej jest fałszywy. Rozstrząsanie, mawiają, może być dozwolone, aby tylko było umiarkowanem. Przypuśćmy, lecz na czem polega umiarkowanie? Nie zaniedbywać żadnego dowodu, nie przemilczeć żadnego faktu, nie przekręcać zdania przeciwnego, nie rozumować fałszywie, są to wszystko doskonałe warunki dla wykrycia prawdy, lecz musimy przyznać, że w każdej polemice obiedwie strony zapominają o nich w równie dobrej wierze. Przynajmniej powie ktoś, szanujcie osobistość, unikajcie sarkazmów i zniewagi.

Bardzo dobrze — odpowiada Mill — niechaj tylko broń będzie równa z obustron i niech nie nazywają gwałtownością, wybrykiem, wiarołomnością u jednych tego, co u innych zowią gorliwością, pobożnym zapałem lub świętem oburzeniem. Któż nie dopatrzy, że we wszystkiem ten jeden tylko może być sędzia stosowny, a jest nim nie prawo, lecz publiczność.

Od wolności myśli i słowa, Mill przechodzi do swobody działania. Jest to to samo zagadnienie i te same warunki rozwiązania. Jeżeli pożytecznem jest, aby istniała rozmaitość mniemań, nie mniej potrzebną jest rozmaitość w istnieniu, tak wszakże aby z zachowaniem praw trzeciego, pozostawiono najzupełniejszą wolę wszystkim kaprysom, zarówno jak i wszystkim talentom.

Indywidualność, innemi słowy, oryginalność jest warunkiem, niezbędnym żywiołem wszystkiego, cokolwiek zowiemy naukami, sztukami, wychowaniem, cywilizacyą. A tymczasem prawdę tę zapoznają socyaliści, chcący nadać ludzkości postać jednokształtną, nie rozumieją jej też politycy, mający siebie jedynie za mądrych i rozumnych i którzyby chętnie ze społeczeństwa pułk utworzyli. Lecz i samo społeczeństwo nie odczuwa tej prawdy, skoro nie może zrozumieć dla czego niektórzy mijają utarte gościńce i skoro lęka się oryginalnych umysłów, jakkolwiek tylko przy ich pomocy naprzód postępuje.

Nie idzie tu, mówi Mill ze zwykłą głębokością poglądów, o to co robią ludzie, lecz o to, czem oni są. Ze wszystkich dzieł ludzkich największym jest sam człowiek. Gdyby jutro naprzykład wynaleziono automaty siejące ziarna, staczające bitwy, broniące i sądzące różne sprawy, budujące kościoły i klękające w nich, słowem wykonywające wszystko, co my robimy, czy automaty te mogłyby iść w porównanie z ostatnim z pośród ludzkich stworzeń? W człowieku zatem jest coś ważniejszego niż czyn dokonany, jest mianowicie siła, która czyn ten spełnia. Siła ta — to osobnikowość, czyli innym słowem, wolność. Przyroda ludzka nie jest machiną, niezmienną w swym ruchu i pracy, jest ona żyjącą, rośnie i zmienia się bezustannie. Niezależność warunkuje jej rozwój wszechstronny.

(C. d. n.)

---

## WSPOMNIENIA STARYCH ŻOŁNIERZY

spisał

EZECHIEL BERZEWICZY.

### II.

**Bój pod Tyszycą.**

(z opowiadania Antoniego Szaszkiewicza).

*(Ciąg dalszy.)*

Tymczasem maszerując mil cztery przez półtory doby, o Moskalach nie było żadnej wia domości.

Pod miasteczkiem Berezno zatrzymaliśmy się i co można było dostać dla obozu, kupiliśmy w pobliskiej wiosce. W nocy rozkaz brzmiał: „Ognisk żadnych! cichość największa! popręgi sfolgować koniom i napowrót osiodłanie poprawić!“ Co moment więc oczekiwaliśmy komendy: „na koń!“

Po tej ostrożności pułkownika, domyślaliśmy się, że Moskale znajdują się niedaleko. Różycki czuwał, był niecierpliwy i oczekiwał na kogoś! a była to noc nadzwyczajnie ciemna.

Nareszcie około północy, zjawił się jakiś szlachcic przy widecie, powiedział hasło i kazał się jak najspieszniej do naczelnika prowadzić; był to oczekiwany posłaniec z wiadomościami.

Po krótkiej z nim konferencyi w pół godziny, byliśmy już w marszu. — Cichość znowu została nakazaną i ognia do fajek krzesać wzbroniono.

Świtać zaczynało, gdyśmy przez miasteczko Berezno maszerowali. Nie wolno było nikomu ani na chwilkę zatrzymywać się; tymczasem nie uważałem, jak się wymknął z szeregu tęgi chłopak, podoficer Porczyński i został nieborak, aby

już więcej nie wrócić, gdyż w parę minut po naszem odejściu awangarda moskiewska pokazała się w mieście.

Z nowin zaczerpniętych od szlachcica był widać Różycki zadowolony i wysnuł z nich jakieś plany, bo z wypogodzoną, prawie uśmiechniętą twarzą mówił:

— Kozuniów nie ma! Jutro spodziewam się swobodniej maszerować, bo nie będziemy tak alarmowani! — nie dopowiedział dla czego? a pokazało się, że był pewnym, że im cięgi sprawi.

Od Berezny do Tyszycy ciągnęło się równe pole z ćwierć mili blisko, które Różycki ominął spiesznie, gdyż dopiero za wioską była owa cudowna pozycya, o której Różycki wspominał.

Kasa pułkowa szła za oddziałem, za nią furgony z prochem, wielkimi zapasami jagieł, słoniny i innych prowiantów, a na końcu dopiero szły fury imitujące ambulansy dla chorych na cholerę.

Tą aryergardą dowodził Józefat Domaradzki; lecz pomimo tego kazał Różycki mnie i Wyleżyńskiemu często zawracać i na fury naciskać aby pospieszały.

Znajdowaliśmy się już blisko Tyszycy, kiedy usłyszeliśmy po za sobą kilka strzałów w kierunku od Berezny. Mordowano tam właśnie wspomnianego powyżej podoficera Porczyńskiego, który własną nieostrożność życiem przypłacił; miał się bronić należycie, ale zginął.

Nieprzyjaciel więc znajdował się już nam na karku.

Trzeba jeszcze nieszczęścia, że kasa nasza, wjechawszy w kołowrot, zaczepiła o słupy, a chociaż wyrąbanie ich nie długo trwało, jednakowo cały obóz w tyle był przez to wstrzymanym, i Moskale dopadłszy ostatnich wozów, rąbali słabych i bezbronnych, zabrali, co się dało zachwycić i pędzili nazad do Berezny, aby tę zdobycz przed wyższą komendą złożyć. Z tym napadem tak się hultaje prędko uwinęli, że gdyśmy na odsiecz nadbiegli już ich nie było! Kasa, amunicya i 20 furgonów z prowiantami zostały jednak ocalone.

Za Tyszycą, na rozległem błoniu między lasami sosnowemi, uszykował Różycki dwa szwadrony frontem ku gościńcowi, którym Moskali nadejść mieli, resztę jazdy ukrył w zasadzce, na którą w przewidywanym przez Rożyckiego cofaniu się nieprzyjaciół natknąć się koniecznie musieli.

Błonia te były oddzielone od głównej, szerokiej drogi, mostami poleskimi, dla komunikacyi gospodarskich wąsko pobudowanemi.

Różycki obleciał wszystkie punkta i w najlepszym humorze wrócił przed front owych dwóch szwadronów.

Moskale, (a był to cały pułk jegrów), nie mogli nas obejść, bo trzęsawiska były niedostępne. — Jedna tylko główna droga, przez wieś wierzbami obsadzona, prowadziła do nas.

W półtory godziny może, ukazali się maszerując szóstkami na nas, lecz dla opatrzenia przejścia po tych mostkach, zatrzymali się.

Wtenczas Różycki, aby ich wciągnąć całkowicie na błoń, zaczął się niby rejterować do lasów, które były za nami. Tem ośmieleni jegry, przechodzili dwójkami szybko mostki zostawiając jeden szwadron w kolumnie jako rezerwę, a na błoniu zaraz rozwinęli się i frontem postępowali za nami.

Na czele ich był pułkownik Peters, trzymał w ręku polską lancę z chorągiewką, zapewne na Porczyńskim zdobytą. Nie długo jednak do niego należała, bo Różycki odwrócił ponownie front do Moskali i stanął.

Gdy na kroków 200 się zbliżyli, dali ognia szwadronami z karabinów, któremi zwykle konni strzelcy są uzbrojeni.

— Do ataku broń! zakomenderował Różycki, kłusem, marsz!

Grzmiące „Sława Bohu!“ rozległo się po lasach, a w minutę, lance nasze spychały już Moskali z koni z tyłu, bo pierwszego natarcia nie wytrzymali i pierzchnęli. Na przejściach mostów zamięszanie ogromne, jeden drugiego wyprzedzając, spychał w trzęsawiska, a tymczasem dowódzca pułku Peters zgubiwszy kask i wypuściwszy ową lancę polską, z rozrzuconymi włosami, komenderując: „*Spasajties rebiata*“ (ratujcie się dzieci), zmykał po błoniu w przeciwną stronę goniony przez naszego kozaka „Saczka z Halczyńca“. — Tylko dzielności swojej białej anglezowanej klaczy winien był swoje ocalenie, bo gdy go Saczek z tyłu połaskotał grotem lancy, ranny już przeskoczył trzęsawisko nadzwyczajnej szerokości. Klacz już na drugą stronę wydobyć się z jeźdzcem nie mogła, a on sam nie tracąc czasu, zeskoczył z konia i pieszo, obłocony, kłusem dobiegał łanu żyta. — Kilku naszych z tej strony trzęsawisk, krzyczeli za uciekającym po moskiewsku: „*Do swidania*“, co znaczy „do widzenia się!“ Tak więc pułk strzelców konnych zupełnie został rozbity; siedmdziesięciu w niewolę wziętych, a reszta wraz z lekko rannymi i ze sztabem oficerów wyższej i niższej rangi, uciekała drogą do Berezny w największym nieporządku.

Odtąd ku Bugowi, jak Różycki przepowiedział, szliśmy najspokojniej bez obawy spotkania jakiejbądź przeszkody, gdyż obywatele donieśli nam, że w Kowlu jest tylko bardzo słaby garnizon inwalidów. Pokazało się, że doniesienie poprzednie jakoby od Kowla jeden pułk na nas wysłano, było mylne.

Po tej bitwie, przyjmowano nas wszędzie z największem uniesieniem, a szczególnie, gdyśmy wstąpili do dworu wsi Niemowa, należącej do bogatego bardzo pana Kaszewskiego. Jak się dowiedziałem, służył on z moim ojcem za Kościuszki i był wielkim patryotą. Po naradzie z Różyckim, uwolnił on nas od ambarasu z jeńcami, przyjął bowiem na siebie opatrzyć ich w żywność i pod wartą wysłać na łodziach w przeciwną stronę do Pińska. Nakazał przytem dozorcom, aby z umysłu utrudniali drogę różnemi przeszkodami niby z wypadku wynikłemi, gdyż był pewnym, że po uwolnieniu się, Moskale wrócą znowu do swoich szeregów.

Już łodzie były przygotowane; na wsiadanem kazał Kaszewski dać Moskalom po szklance spirytusu i jedzenia obficie, od Różyckiego dostali do tego po rublu na drogę. — Jeńcy podochoceni i uszczęśliwieni rublem, ciągle powtarzali: „Wielikodusznyj narod polskij! Nasz pułkownik pieszo uciekł! mówili, a bezbronnych chłopców i słabych na furach sam rąbał. My to rozpowiemy przed starszyzną“... Gdy tak jedni gadali, kilku z nich przystąpiło do Różyckiego i oświadczyło chęć służenia w naszych szeregach. Na to Różycki odpowiedział:

— My mamy dosyć żołnierza swego. O milę stoi nasza artylerya i kilkanaście tysięcy wojska. Wracajcie z Bogiem i rozpowiadajcie wszystkim, że my bijąc się za naszą i waszą wolność, nienawiści do narodu moskiewskiego nie mamy, a jeżeli kto naszym zamiarom przeciwny i wydaje nam bitwę, ostrza naszych lanc na długo pamiętać będzie!

Potem łodzie podpłynęły i zabrały jeńców, jako zbyt nam ciężącą zdobycz.

Obywatele, których dla przywitania nas dużo się zjechało, rozesłali poufnych dla ściągania kryjących się rozbitków z powstania Narcyza Olizara. Przybyli niebawem: Stanisław Worcel, Erazm Zakaszewski, Rymiński... reszty nazwisk nie pamiętam, ale było dosyć i prostej kondycyi. Wszyscy przyłączyli się do naszych szeregów.

Ztamtąd poszliśmy przez Dąbrowicę, majątek Platera, ku Włodzimierzowi*).

Nie potrzebuję powtarzać tu, gdyż kolega Seweryn już mię w tem wyręczył, jakim sposobem Różycki zrobił fałszywą demonstracyę, maszerując niby na Łuck, w celu zniszczenia Moskalom zapasów i magazynów wojennych, i że wskutek tego ściągnięto znaczne oddziały, strzegące przeprawy przez Bug dla wzmocnienia słabej załogi w Łucku. — Przyszedłszy więc do Włodzimierza, wysłał Różycki poufnych ludzi dla przekonania się czyli i gdzie przeprawa będzie najpewniejszą?

Wysłannikami tymi byli podstarzali obywatele Włodzimirscy, i wkrótce przywieźli pocieszającą wiadomość, że Moskale znaczniejszą część wojska pod Łuck ściągnęli i zostawili wolne miejsce do przeprawy pod Lubomlem, majątkiem hrabiego Branickiego. — Stara Branicka, unikając ruchów powstańczych na Ukrainie, mieszkała podówczas z swoim najstarszym, piętnastoletnim wnukiem Ksawerym Branickim, w Lubomlu*). — Nagłym marszem udaliśmy się więc do Lubomla i przygotowanie do przeprawy urządził Różycki w ten sposób, że pewien kupiec, mający niby przewozić zboże do Polski, pojechał naprzód i na tę stronę Bugu kazał wszystkie łodzie pościągać. — My zaś odchodząc, aby uniknąć alarmu o przeprawieniu się naszem i zyskać na czasie, rozgłaszaliśmy, że idziemy wprost na Łuck.

Gdyśmy nad Bug przyszli, zastaliśmy wszystko gotowe, a choć przewoźnicy zamiast zapowiedzianego zboża, wojsko do przewożenia zobaczyli, zbrojnemu oddziałowi odmówić nie śmieli.

W ciągu naszej przeprawy, podjechał do mnie na tęgim koniu, jak się później pokazało, podkoniuszy Branickiej i zapytał: czy mógłby się przedstawić głównemu dowódzcy, bo ma do pomówienia z nim na osobności. Natychmiast zawiadomiłem Różyckiego, który zsiadłszy z konia wraz ze mną, zbliżył się do tego jegomości, pytając: czego żąda? Wahanie się jego z odpowiedzią przekonywało mię, że moja obecność mu zawadzała, co spostrzegłszy Różycki powiedział:

— Mów pan śmiało, to mój adjutant!

— Nasz pan hrabia Branicki, mówił, wysłał mnie do Jaśnie Wielmożnego generała z zawiadomieniem, że i on chce brać udział w wojnie polskiej.

— I owszem! jeżeli chce, to z przyjemnością jego udział przyjmiemy, odpowiedział Różycki.

— A kiedy jest przez babkę zamknięty na pierwszem piątrze i to pod silną strażą. — Idzie

---

*) W Dąbrowicy ofiarował nam hrabia Plater z swojej fabryki sukna granatowego i białego tyle postawów, że można było niem 1000 ludzi umundurować; a tak, my ani żołdu, ani wydatków na umundurowanie nie potrzebowaliśmy i nie żądali. Postanowienia kroju i koloru mundurów dla naszej jazdy oczekiwaliśmy od Rządu Nardowego.

*) Ten Ksawery Branicki służył później przymusowo, przy świcie cesarza Mikołaja, a zostawszy fligeladjutantem prosił o paszport za granicę dla poratowania zdrowia. — Jak też i odjechał, tak już więcej nie wrócił, i do dziś mieszka we Francyi.

o to, żeby Jaśnie Wielmożny pan otoczył pałac jakimbądź zbrojnym oddziałem, a my z młodym hrabią zaciągniemy się wszyscy. Oficyaliści, służba dworska, jest gotowa, koni mamy podostatkiem!...

— Sądzę, odparł Różycki, że kto ma dobrą wolę, ten bez zbrojnego oddziału mógłby znaleść sposób uwolnienia się z pod straży kobiecej.

— To prawda! ale mój pan jest jeszcze młody i nie wie w jaki sposób ma to uczynić.

— A ileż lat ma twój hrabia?

— Piętnaście!

— No, mój panie! posłuchaj więc uważnie co powiem: My walczymy za wolność, sprawiedliwość i prawa! Nie byłożby to nadużyciem gwałcić prawa opieki rodzinnej nad małoletnim? Pozdrów pan od nas wszystkich i powiedz młodemu hrabiemu, że szlachetny swój zapał w dziecinnym wieku może chlubnie rozwinąć w dojrzałym, a do służenia świętej sprawie znajdzie się nietylko dziś stosowna pora. Powiedz mu nadto że powziąłem dla niego wielki szacunek a i wy go wszyscy szanujcie, bo w tym młodzieńcu jest uczucie tak szlachetne, jakiego mu i nie jeden w dojrzalszym wieku mógłby pozazdrościć. — Bywaj zdrów!

Jeździec się skłonił, a my szczęśliwie dokonaliśmy przeprawy jeszcze przed zachodem słońca.

Za Bugiem, na drodze, którąśmy maszerowali, czekał na nas jakiś panek w powoziku. — Różycki go poznał, zjechał na stronę, a po krótkiej rozmowie dopędził oddział i zwrócił szwadrony inną, leśną drogą. Niebawem okazało się wśród tych lasów dostateczne błonie, na którem rozlokowaliśmy się cichutko na nocleg, obstawiwszy placówki i widety, podług wszelkich reguł wojennych.

Panek ów z powozikiem odjechał, ale widać, że powozik nie był próżny, bo zostawił nam wiele różnego jadła, a o zmroku, nadjechały fury i napełniły stodołę, która samotnie na błoniu stała furażem dla koni, a chlebem, serem i słoniną dla ludzi.

Późną już nocą zjawił się koło widety jeździec na bułanym koniu, znał hasło nasze i został zaraz do baraku dowódzcy poprowadzony. Różycki nie spał, bo widać porozumiawszy się z owym panem w powoziku, czekał na niego. Prosił go o chwilkę zwłoki, a pomówiwszy coś z szwadronistami, rzekł do mnie półgłosem:

— Bądź gotów, pojedziemy na spacer!

Domyśliłem się, że jeździec ów na bułanym koniu będzie naszym przewodnikiem; ale dokąd udajemy się — nie wiedziałem.

Z postawy tego jeźdzca poznać było, że nie był to człowiek pospolity; nie chciał być poznany, bo miał czapkę nasuniętą i nic nie mówił. W kilka minut ruszyliśmy we trzech.

Przewodnik, ciągle milczący, prowadził nas przodem wśród ciepłej nocy majowej do wsi, nie napotkawszy nikogo. — We wsi tej płynęła rzeczka, po nad którą jadąc ujrzeliśmy się nagle wśród ogrodu paradnego, obok inspektów. — Jeździec obejrzał się za nami i jeszcze nas podprowadził do schodów ogrodowych wspaniałego domu, rzęsisto oświeconego, i znikł nam z oczów.

Różycki zszedł z siodła i oddał mi konia.

— Trzymaj bracie! — rzekł, ja cię prędko zluzuję, tylko rozmówię się tu z pewnym starym weteranem.

Siadłem na schodach i dumałem; ale czarnych myśli nie było, bo młodość to wiosna życia— ubarwia wszystko kwiatami, wszędzie woń rozsiewa i nadzieję, a niebezpieczeństwo ma jakiś niewysłowiony urok i podnosi duszę.

Po niejakim czasie odemknęły się drzwi i usłyszałem głos: „prosimy pana...“ Konie odebrał odemnie nadesłany człowiek.

Wszedłem. Salony oświecone, kobiet mnóstwo, którym Różycki przedstawił mnie temi słowy:

— Nieodstępny mój przyjaciel i niezmordowany towarzysz broni!

Gospodarz, dawny generał wojsk polskich, stary polus żartobliwy, rzekł do Różyckiego:

— Zostawmy go tu, będzie w swoim żywiole i pewnie nie znudzi się, a my chodźmy do swego zajęcia!—A obróciwszy się do mnie rzekł: a pana o to proszę, że jeżeli która z dam w oko ci wpadnie, odłożyć amory do skończenia wojny.

Skłoniłem się, mówiąc:

— W wyborze między temi damami byłby tak wielki ambaras, że lepiej możeby było zaniechać myśl taką; jednego tylko żałuję, że za mało mam czasu dać poznać się tak pięknym damom.

— Oho! panie Karolu! to widać szczuty żołnierz! jak cięcia szabli paruje grzecznościami.

(C. d. n.)

---

**PRZESZŁO**

# SIEDM STÓP WYSOKOŚCI.

**Obrazek z życia londyńskiego,**

z angielskiego przełożył

KALIKST WOLSKI.

*(Ciąg dalszy).*

— Zostań Edwardku — zawołał doktor, szepnąwszy do ucha gospodarzowi:

— To mój szkielet olbrzymi, com go tak długo szukał, daj mu jeść i pić. Odtąd nie spuszczam go więcej z oka. Gdybym stracił tę sposobność, nie tak prędko, a może nawet wcale by się inna nie znalazła... Taki egzemplarz, taki piękny... taki wielki! — dodał doktor, mierząc oczyma Edwardka.

— Skoro on panom nie przeszkadza i taka jest wola pańska, to... — odpowiedział gospodarz z pewną jednak niechęcią.

— To dobrze, panie Janie — przerwał mu niecierpliwie doktor — każ podać jeść temu człowiekowi i basta.

Na widok dymiącego zraza wołowego, obłożonego kartoflami, Edward aż się wyprostował i zaraz wziął się do jadła, ale zanim pierwszy kawałek do ust włożył, przeżegnał się pochylając głowę.

— To musi być katolik — rzekł gospodarz, sam wyznawca anglikańskiego kościoła. — Pewnie Irlandczyk — dodał wzruszając ramionami — to tak jak on, wszyscy próżniacy i żebraki... wszystko to ladaco, taki lud cały!

— Jest to lud poetyczny! — rzekł Leon do doktora, bo go niecierpliwiły te wymysły zwykłe Anglików na Irlandczyków.

Poczem odwrócił się tyłem do gospodarza, i zaczął spór z doktorem o Irlandczyków.

— Niech sobie będą poetami! — odpowiedział doktor. — My prostaczkowie londyńscy przyznajemy im wyższe od nas zdolności. Rzeczywiście są wyżsi od nas wzrostem — dodał przejęty myślą olbrzymiego szkieletu.

W tej chwili zaczęła bić dwunasta.

— Panie Leonie, chesz mi zrobić łaskę? — zawołał prędko doktor.

— Z miłą chęcią — a jaką?

— To wychodź, wychodź natychmiast. Jutro się zobaczymy. Ja sam będę u ciebie, bywaj zdrów, do widzenia! Zmiluj się wychodź wychodź! — i mówiąc to kładł mu pod pachę tekę z portretami.

— Ależ powiedz mi przynajmniej dla czego?

— Nie teraz, nie teraz! — przerwał mu doktor stanowczo. — Zrób mi tę łaskę — mówił dalej błagającym prawie tonem i z największą grzecznością prowadził go do drzwi wychodowych.

— No... — rzekł na to malarz patrząc w oczy doktorowi i wskazując mu palcem na czoło, gdzie ma być siedlisko rozumu — no, słucham cię doktorze, ale mam nadzieję, iż mi kiedyś wytłumaczysz tę zagadkę.

— Bywaj zdrów, bywaj zdrów! — odrzekł doktor, widząc zbliżający się bardzo szybko powóz.

Kiedy malarz już odchodził, powóz ten przejechał koło niego, mimowolnie rzucił okiem do jego wnętrza i nie mógł się wstrzymać od wykrzyku zadziwienia.

Ale doktor powiedział mu strasznym głosem:

— Idź sobie, jeżeli nie chcesz bym został twoim śmiertelnym wrogiem. — Jakoż patrzał gniewnem okiem za odchodzącym Leonem, póki tenże nie zniknął na zakręcie ulicy.

Młody malarz ustąpił człowiekowi, którego nie chciał obrażać przez wdzięczność za doznane już usługi i w nadziei korzystania z nich na przyszłość.

Powóz zatrzymał się przed drzwiami tawerny X***. Młoda kobieta wyciągnęła rączkę przez okno karety i uścisnęła przyjaźnie rękę doktora. Siedzący obok niej mężczyzna wysiadł, i rzekł do swej towarzyszki:

— Zaczekaj na nas chwilę, moja droga, a ściskając rękę doktorowi, zapytał najspokojniej, jakby się nie dawniej jak wczoraj widzieli.

— *How do you do, my dear?* (Jak się masz mój drogi?).

— *Wery well.* (Bardzo dobrze) dziękuję, a jakże twoje zdrowie kochany lordzie?

— Nic nie pozostawia do życzenia.

— A mój szkielet.

— Jest, jest — odpowiedział lord Henryk, on to był bowiem, a zwracając się do służącego, dodał: — Jozue, podaj mi czarne pudełko.

— Pudełko od skrzypców? — zapytał służący.

— Tak, to od skrzypców.

Jozue wydobył niezwłocznie z powozu pudełko od skrzypców i podał je panu swemu. Ten wziąwszy doktora pod rękę, wszedł z nim do tawerny.

Lord Henryk był pięknym mężczyzną. Szlachetność i męzka stanowczość malowały się na jego pięknie zarysowanem czole, a naiwność dziecięca prawie w ust zagięciach; wszystkie te przymioty tryskały mu z oczu; cerę miał taką jakby twarz jego była z marmuru, zmiękczona jakiemś obcem ciałem. Był to prawdziwy typ arystokracyi angielskiej, której czyny odpowiadają zawsze zapowiedziom fizyognomii. Tak lord Henryk dał dowód poczucia sprawiedliwości, na które się łączą dobroć serca i męzka stanowczość, kiedy od razu, nie wahając się ani chwili, postanowił zerwać z klubem *Regents-park* i zaślubić dzisiejszą swą żonę.

Wchodząc do sali, lord Henryk rzekł do doktora:

— Musimy skrócić nasz pobyt w Londynie, a ponieważ ranek dzisiejszy mam cały zajęty i jutro wyjeżdżamy do Irlandyi, przyjdź kochany

doktorze dzisiaj o 6tej na obiad, przepędzimy razem wieczór.

— Bardzo chętnie. Ale patrz, lordzie, jakiego mam olbrzyma, wyższy jeszcze, już mi się z początku zdawał, wyraźnie rośnie mi w oczach — i wskazał na Edwardka, który posiliwszy się drugą porcyą kotleta wołowego i drugą kwartą piwa, odzyskał sprężystość członków, mógł się wyprostować i pokazać swój wzrost w całej okazałości.

— A tu masz karła — odpowiedział lord Henryk, otwierając pudełko od skrzypców.

— Gdybym go nie widział własnemi oczyma, nie wierzyłbym, żeby taki mały człowiek mógł istnieć — rzekł doktór wpatrując się z zachwyceniem w mikroskopijny szkielet chińskiego karła.

Olbrzymi Edwardek przeżegnał się, gdy zobaczył, co pudełko w sobie zawierało.

Doktor oczami wodził to na olbrzyma, to na szkielet karła, porównywając ich rozmiary. Wzrok doktora nie miłe robił wrażenie na Irlandczyku. Zdawało mu się, że coś obcego wdziera mu się w ciało aż do kości, przeżegnał się więc na nowo, a schyliwszy się podrapał się w nogę powyżej pięty. W rzeczy samej, doznawał tego palącego i ostrego bolu, jakiego doznaje, ten co pnie się na wysokie schody na pół zapadłe a wiszące nad przepaścią.

— Czy nie sprzedałbyś mi swojego szkieletu? — zapytał doktor Edwardka najprostszym tonem, jakby mówił o butach, o psie lub koniu.— Cobyś też chciał za niego?

Olbrzym podniósł się, wyprostowany jak świeca i spojrzał na doktora z badawczem niedowierzaniem.

— Co byś chciał za swój szkielet z warunkiem, że go wezmę dopiero po twej śmierci? — powtórzył spokojnie doktór.

Edwardek przeżegnał się, zadrżał cały, poczem jednym rzutem skoczył do drzwi wychodowych. Ale doktor dopędził go, pochwycił na samem wyjściu i powiedział mniej spokojnym już teraz tonem.

— Dam ci sto funtów szterlingów, weźmiesz je? — a widząc wahanie olbrzyma.

— Dam ci dwieście za twój szkielet.

— Nie! — odpowiedział stanowczo Edwardek. — Wolę z głodu umierać, niż sprzedać mój... i nieszczęsny ten wyraz znakiem krzyża świętego zastąpił. — Jakżebym się pokazał przed panem Bogiem na ostatecznym sądzie. Ząb mi wyleciał, a chowam go w murze, tak jak mój ojciec zawsze robił, bo muszę go mieć z sobą w wielki dzień ostatecznego sądu. Tego zęba nawet nigdybym nie sprzedał. Ciało nasze i kości dane nam są od Boga. Człowiek może sprzedać to co sam zrobił, ale co jest boskiego, przynależy Bogu.

Po tych słowach Edwardek wyrwał się z rąk doktora i zaczął kłusem uciekać.

— Jozue! — zawołał doktor w rozpaczy, goń za tym człowiekiem.

Piękna lady Henryeta, na ten krzyk wysunęła głowę przez okno karety, a doktor wołał:

— Na miłość Boską! Jozue! Nie spuść go z oka. Dostaniesz dwa funty szterlingi, jeżeli mi doniesiesz, gdzie się podział i gdzie go szukać?

Jozue nie dał sobie dwa razy powtarzać tak zachęcającego polecania i pobiegł spiesznie za Edwardkiem. Ale nie potrzebował długo się męczyć. Olbrzym sam się zatrzymał. Na widok lady Henryety stanął jak wryty, całem ciałem pochylony na przód z rękami do niej wyciągniętemi i z oczami w piękną jej twarz wlepionemi.

Tymczasem lord Henryk siadł do powozu, a podając przez okno rękę doktorowi powiedział·

— Czekamy cię z obiadem, a tymczasem zostawiam ci Jozuego — i dał znak furmanowi, ażeby jechał.

Ledwo powóz ruszył, Edwardek zachwiał się i mało nie upadł, tak jakby odjazd karety odjął mu równowagę.

— A to co znowu! byle ręki lub nogi nie złamał; — zawołał doktor z przestrachem.

Ale olbrzym wyprostował się na te słowa, stanął przed doktorem i powiedział:

— A to ty panie! — poczem przeżegnał się i dodał:

— Słuchaj panie, zmieniłem moje zamiary. Wezmę chętnie dwieście funtów za mój szkielet, ale pod warunkiem, że go sobie po mojej śmierci zabierzesz.

Doktor Jozue i Edward wrócili do tawerny i kazali się zaprowadzić do osobnego pokoju. Tam, skoro sami zostali, doktor wyjął pugilares, a kiedy go otworzył, pokazały się lancety, skalpele, bistury, igły z zakrzywionemi końcami, słowem cały arsenał narzędzi chirurgicznych. Edwardek patrzył na nie z ciekawością, która powiększyła się jeszcze, kiedy doktor wyjął z bocznej kieszonki banknoty i dwieście funtów szterlingów niemi odliczył, a potem uroczyście do niego przemówił:

— Edwardku, wszak wierzysz w kary i nagrody wiecznego żywota?

— Wierzę — odpowiedział równie uroczyście olbrzym, żegnając się znakiem krzyża świętego.

— Więc przysięgnij mi na zbawienie duszy, że nie wyjedziesz z Anglii bez mego pozwolenia.

— Przysięgam!

— Że nie wystawisz swych członków na złamanie lub uszkodzenie, bobyś przez to zepsuł szkielet, który już od tej chwili jest moją własnością.

— Przysięgam.

— Pamiętaj więc, że podług warunków naszej umowy, twój szkielet jest moją własnością, a ty masz tylko dożywotnie używanie jego; pamiętaj, że prawo przepisuje dożywotnikowi nie nadużywać nie należącej do niego cudzej własności. Pamiętaj, że podług przepisów prawa, dożywotnik ma obowiązek, „używać powierzoną mu cudzą własność jak dobry ojciec rodziny.“ Przysięgnij więc, że dotrzymasz warunków naszej umowy i szanować będziesz przepisy prawa.

— Przysięgam.

— All right (ol rajt, bardzo dobrze).

Doktor oddał banknoty olbrzymowi, a kiedy ten usiadł przy stole i zaczął je liczyć, nalał na chustkę pewną ilość płynu z flaszeczki starannie zatkniętej i tak zmoczoną chustkę przesunął mu szybko pod nosem. Edwardek kaszlnął i opuścił na stół głowę snem ciężkim ujęty.

Wtedy doktor zwinął w trąbkę 200 funtów szterlingów i wsunął mu do kieszeni, a Jozuemu kazał zawinąć po samo ramię rękaw lewy. Olbrzym nic nie wiedział, co się z nim dzieje, pozostał w stanie zupełnej bezwładności. Kiedy ogromne jego ramię zupełnie było obnażone, doktor wziął cienką igiełkę i zaczął wykłuwać na głównym muszkule nie zatarte znaki, tak jak policya robi niepoprawnym zbrodniarzom, żeby ich łatwo w każdym razie poznać mogła.

Przez zręczne podnoszenie samym koniuszkiem igły naskórka, wypisał bardzo czytelnie następujące wyrazy:

„W sam dzień Bożego Narodzenia 187* r. sprzedałem doktorowi Jakubowi C*** mój szkielet za 200 funtów szterlingów. Kto w razie mej śmierci odniesie mój szkielet do muzeum chirurgicznego w Londynie, dostanie 100 funtów nagrody.“

Potem posypał nakłucie niebieskim proszkiem i dobrze zatarł.

Tym sposobem umowa spisaną została niebieskiemi literami na żywym pargaminie.

Kiedy Jozue spuścił rękaw, doktor mu powiedział:

— Słuchaj, oddaję ci pod opiekę prawnie nabytą własność. Masz nie tracić tego człowieka z oczu ni w dzień ni w nocy, o ile to nie będzie przechodziło twojej możności. Odpowiadasz mi za jego całość i dobre zachowanie. Pobierać będziesz jednego funta dziennie i dostaniesz pensyę dożywotnią tejże wysokości, jeżeli ściśle spełniać będziesz obowiązek, który na ciebie wkładam.

Poczem doktor dał powąchać Edwardkowi soli lotnej. Olbrzym kichnął, że aż się szyby zatrzęsły i przebudził się przecierając oczy.

— Bywaj zdrów — rzekł doktor — banknoty masz w kieszeni.

Edwardek nic nie odpowiedział, stał prawie osłupiały, tylko mimowolnie rękę lewą pocierał. Operacya zrobiona przez doktora Jakóba nie była bolesną, sprawiała tylko lekkie swędzenie i to nie na długo, bo doktor przez ostrożność potarł rękę octem.

Po wyjściu doktora Edwardek poszedł za nim w pewnej odległości, aby zobaczyć gdzie mieszka. Dowiedział się od przechodnia nazwisko ulicy i potem machając z radości rękami, zaszedł do niedaleko położonego szynku. Kazał sobie dać *dżinu* (jałowcówki) i popijając ulubiony przez Irlandczyków trunek, ciągle swój skarb rachował. Nakoniec sprzykrzywszy sobie tę robotę, schował banknoty do kieszeni, podniósł się i chciał już wychodzić, ale nagle zadrżał i upadł na krzesło. Spostrzegł bowiem przed drzwiami doktora z Jozuem i jakimś trzecim jegomością. Doktor wskazywał go palcem temu ostatniemu, Edwardek domyślił się, że go oddaje pod dozor komisarza policyi.

Wkrótce jednak przyszedł do siebie, przeżegnał się, zasłonił sobie olbrzymiemi rękami oczy od boków, żeby przechodząc swych prześladowców nie widzieć i spiesznie wyszedł z szynku. Biegł tak długo, wcale się nie oglądając, aż zatrzymał się przed schodami, prowadzącemi wprost z ulicy do *bessmentu* (piwnica służąca za mieszkanie lub sklep) i zszedł do znajdującego się tam sklepu tandeciarza.

W Londynie robotnicy i biedni nie mają oddzielnego ubioru, jak naprzykład we Francyi, gdzie noszą bluzy, ten ubior nędzy i pracy. Londyńczycy bogaci i ubodzy noszą takie same palto i surduty; ta jest tylko różnica, że biedni kupują suknie noszone i to stosownie do fundu- szów, raz tylko lub kilkakrotnie już sprzedawane na tandecie.

Zastanowiwszy się nad tem, przychodzi się do przekonania, że taka wspólność ubrania ma w sobie coś bardzo upokarzającego i poniżającego. Bluza robotnika francuskiego przez nikogo przed nim nie była noszoną, dla niego umyślnie będąc zrobioną; i dla tego robotnicy francuscy tylko w ostateczności kładą łachy znoszone przez pierwszego lepszego. W Londynie zaś można

widzieć na głowie żebraczki kapelusz, co skokami wodospadu z głowy kobiety najwyższej arystokracyi, spadł aż na obdartą nędzarkę. Te znoszone resztki zbytku, co przez szyderstwo chyba zdobią owe zużyte twarze, gorżkie budzą myśli. Ogromne bogactwa i tuż obok nędza okropna, to przypływ i odpływ Oceanu kołyszącego życie londyńskie.

Edwardek zapomniał pewnie o nadzwyczajnych rozmiarach swego ciała, nic więc dziwnego, że w całym sklepie nic nie znalazł takiego, o czemby choć pomyśleć można, że zda się na niego. Na próżno chciał przymierzać ubiór po tamburmajorze i drugi po szwajcarze kościelnym. Kiedy przyodziewał się w swoje łachmany, a koszuli nie miał, bo w pogardzie miał zbytek noszenia bielizny, spostrzegł wyrazy napisane przez doktora na lewej ręce. W ciemnym sklepie tandeciarza dzień i noc pali się lampa. Edward zbliżył swe ramie do światła, a tandeciarz położywszy się na brzuchu na jednej z wyższych pułek, przeczytał mu napis wykłuty przez doktora.

Biedny Edwardek czytać nie umiał, potrafił wprawdzie przeliczyć banknoty dane mu przez doktora i poznać ich wartość, bo zazdrość skłania biednych do nauczania się tych rzeczy na wystawach wekslarzy. Skoro więc tandeciarz przeczytał mu słowo w słowo napis znajdujący się, sam nie wiedział zkąd, na jego ręku, wziął to za czary i strach go zabobonny przejął. Zaczął mocno trzeć napis, ale tylko skóra się zaczerwieniła i wyrazy mocniej jeszcze wystąpiły.

— O ja biedny!... biedny!...—ryknął olbrzym. — Jestem opętany... — i przeżegnał się z pośpiechem.

Tandeciarz tłumaczył mu, jak się robią takie napisy, ale to nic nie pomagało, bo biedny Edwardek nie mógł pojąć, jakim sposobem znalazł się ten napis na jego ręku i bez jego wiedzy w godzinę po zawartym z doktorem układzie.

— Banialuki mi pleciesz — powtarzał tandeciarzowi, to wcale nie jest naturalne.

Skoro tylko wyszedł ze sklepu tandeciarza, spostrzegł zaraz Jozuego czatującego na rogu ulicy. Ruszył więc tak olbrzymimi krokami, że Jozue tęgim kłusem musiał za nim dążyć. Edwardek nie tylko znikał na zakrętach krzyżujących się ciasnych uliczek, ale puszczał się także w kąty i sienie przechodnie, znane tym tylko, co dzień przepędzają na włóczęgostwie, a noc w takich miejscach gdzie za spanie płaci się pół pensa ($2^1/_2$ centa.) Jozue coraz bardziej zaczął się obawiać, że nie dostanie obiecanej pensyi dożywotniej.

Na koniec stracił zupełnie ślad olbrzyma.

Edwardek pozbywszy się Argusa, udał się ku mieszkaniu doktora Jakuba. Właśnie doktor wychodził na obiad do lorda Henryka. Edwardek poszedł za nim i tym sposobem dowiedział się o mieszkaniu lorda. (C. d. n.)

---

# WRAŻENIA Z PODRÓŻY
## NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

*(Ciąg dalszy.)*

Miasto „en petit" posiada swe bazary, nadewszystko sklep japoński godzien widzenia; oryginalne japońskie jedwabie, wachlarze, a przedewszystkiem porcelana nęci swą eteryczną przezroczystością i dziwacznym rysunkiem. Tu pierwszy raz widziałam Beduinów, na rączych arabskich koniach; postacie o surowem ogorzałem obliczu, w białe odziane płaszcze, zbrojni w pistolety, kindżały i noże, przelatywali przez bazary, robiąc zapasy na drogę! Na jaką drogę? zapytałam z przestrachem, czy przypadkiem Syrya nie jest celem ich wyprawy? W głąb Afryki — odpowiedziano. Piękna to postać ten Beduin, lecz nie dla karawany samotnej w puszczy!

Suez, był dla nas punktem najwięcej wysuniętym na południe, do którego dotarliśmy w ciągu naszej podróży. Góry Mokatamu ciągnące od Cairo, kończą się nad morzem Czerwonem; ceglasta ich barwa i ciemny szafir nieba odbijając się w morzu, nadaje falom jego kolor najpiękniejszego szmaragdu. Kończyna Mokatamu posiada kopalnie żółtego marmuru, którym wnętrze meszei Mechmedalis jest wyłożone, a cztery olbrzymie kolumny wyciosane w jego łomach zdobią kościół św. Pawła w Rzymie, jako dar uczyniony papieżowi przez Mechmed-Alego.

Morze ma tu znaczny odpływ, to też pozostawia zawsze taką obfitość rozmaitych muszli, białych korali i gąbek, że niewiedzieć co pierwej uchwycić, bo wszystko naraz zagarnąć by się chciało. Niektóre z tych muszli, dalekie mieszkanki indyjskiego Oceanu falą tu zaniesione, wielkością swą, kształtem i żywymi barwami, królują pośród kroci drobniejszych swych siostrzyczek. Jakże rozkosznie by się spoczywało na tym emaliowanym kobiercu, gdyby zazdrośne o swe skarby fale, nie zmuszały do rychłej ucieczki...

Po powrocie do hotelu, la bonne, usługująca nam w hotelu, zabawiała mię opowiadaniem o pielgrzymach ciągnących tędy do Meki; ma to być pora najwięcej ożywiona dla miasta; tysiące ich wtedy przeciąga tędy z rodzinami i z zapasami żywności, w martwych i żywych płodach, pędząc przed sobą stada wołów i baranów. Lektyki, na grzbietach czterech wielbłądów przymocowane, służą za pomieszkania dla kobiet i dzieci, w tej kilkomiesięcznej wyprawie; pod baldachimem niosą oni swe świętości i relikwie, napełniając przestwór dzikimi odgłosami monotonnej muzyki i śpiewów.

Kedive nielubiany w Suez, rzadko się tu pokazuje, tak dalece, że nawet festyny z powodu uroczystości otwarcia kanału miały miejsce w jego protegowanej ukochanej Ismaili.

Z Suezu nie idą statki osobowe, lecz kapitanowie okrętów towarowych płynących z Indyi, zabierają pasażerów nierobiąc trudności, czy na bliższej lub dalszej stacyi wysiadają, i za całą przestrzeń do Port-Said żądają od osoby tylko 10 franków.

Koleją więc przebyliśmy tę króciutką przestrzeń, by dopiero z Ismaili kanałem udać się do Port-Said. Jakże szybko znikał nam z oczu cudowny Mokatam, a po nim nastąpiły puste obszary o wyschłej gardzieli słonych jezior, bielejących jakby od śniegu, co nietopnieje nigdy! Od jezior tych słonych i gorzkich, zawiewa wiatr przesycony ich waporami tak, że z trudnością oddychać można.

W przyległym coupé siedziała jakaś wesoła i doświadczona w podróżach kobieta, Czeszka, żona dyrektora włóczącej się po świecie orkiestry; przeraziła nas opowiadaniem o trudnościach towarzyszących dostaniu się do Jerozolimy, gdzie niedawno występywała w koncercie i zarobiła czystych 100 talarów! Opowiadała, że w miejsce lektyk przewieszono na mule dwie kobiałki, w których po jednej stronie ona, a drugiej jej mąż, musieli utrzymywać równowagę, i zapewniała, że to jedyny sposób przebycia owej drogi! Piękne zaiste nadzieje!

W Ismaili zakwaterowano nas do hoteliku, położonego nad samym kanałem, zkąd wprost z pomostu ambarkują się na statek pasażerski. Przed nami ciągnęła się jak wstęga długa, równa, wysadzona akacyami ulica, prowadząca do dworca kolei żelaznej. Miasteczko dosyć rozległe i świeżością swą zdradzające niedawne założenie; zbudowane jest na kształt miast amerykańskich: wzdłuż i w poprzek przerznięte równemi ulicami, co niezwykły w tych stronach nadaje mu charakter.

Ismailia posiada kilka placów, w pośrodku ogród dla przyjemności mieszkańców, kilkadziesiąt prześlicznych willi ukrytych wśród zieloności krzewów, drzew i kwiatów spadających w bogate kiście. Między temi odszczególnia się willa Lesepsa, a wszędzie tak bujna wegetacya, iż się zapomina, że to śród puszczy niezmordowana praca ludzka zwalcza piaski i słońce... Strumienie wody dwa razy dziennie przebiegają po trawnikach i kląbach; ku temu w oddalonej części miasta jest budynek mieszczący maszynę parową, która obdarza hojnie słodką wodą z Nilu całą Ismailę, wszystkie stacye nad kanałem i pędzi ją aż do Port-Said. Tej to wodzie cała okolica winna swe życie, inaczej powróciłaby do swego dawniejszego martwego stanu. Bezmyślnie zapytaliśmy gospodarza hotelu, czy nie ma w Ismaili Polaków i usłyszeliśmy wymienione nazwisko *Kuczewskiego*, jednego z urzędników przy kompanii kanałowej; natychmiast udaliśmy się do jego pomieszkania, gdzie zastaliśmy żonę i dwie jego córki. Ucieszyliśmy się bardzo, bo dopiero w obczyźnie czuć się daje cały urok braterstwa jednej ziemi, ale ich radość była nie do opisania: z serdeczną gościnnością, z jaką nas przyjęli, nie spotkałam się nigdy we własnym nawet kraju i miło mi nad wyraz, że mogę dziś publicznie wyrazić im te uczucia, z jakiemi opuszczałam ich progi. Państwo Kuczewscy, Litwini oboje, po tysiącznych a przykrych przejściach dostali się do Ismaili, gdzie p. Kuczewski otrzymał posadę z pensyą 10.000 franków rocznie, z czego nietylko że się utrzymuje, ale nadto świadczy wiele uboższym rodakom. Całe po obiedzie i wieczór do 11tej spędziliśmy w ich gronie, na wyścigi opowiadając sobie dawniejsze przygody życia, jak i obecny stan i stosunki wewnętrzne ojczyzny naszej!

Nadszedł też niejaki p. *Krajewski*, dawniejszy generał rosyjski, a dziś, jak twierdził, dobrowolny emigrant, który jednak niewielkie wzbudził we mnie zaufanie ku sobie. Kuczewscy i jego odziali, oporządzili i wyrobili mu 10 fr. dziennie przy kompanii kanału sueskiego. Przepędziwszy wieczór przy fortepianie, spiewając i grając dumki, krakowiaki, mazury — zakończyliśmy miły wieczór choralem Ujejskiego. Ze łzami w oczach na tej obcej puszczy pożegnaliśmy się *do zobaczenia*, ale gdzie? chyba aż na drugim świecie!...

Wracając do hotelu wśród ciszy nocnej, usłyszeliśmy mruczenia niedźwiadka w jakiejś bajurce... Głos ten, przywiódł nam na pamięć łąki i bagna nasze rodzinne, na których tysiące żabek koncert swój wygrywa i dziwna nas tęsknota ogarnęła... Nazajutrz o godzinie 5tej stateczek „Messagerie" malutki, bo najwięcej 8 metrów długości mający, miał odpłynąć do Port-Said. Pilnowaliśmy godziny, ale dopiero o 8mej zdołaliśmy się wybrać. Zacny p. Kuczewski z córką starszą Maryą, przystojną i miłą panienką wyszedł na

nasze pożegnanie, obsypując nas serdecznemi życzeniami na dalszą drogę i dając list do znajomego księdza *Bielaka* w Jerozolimie. Prócz nas i wyprostowanej sztywnie młodej pary angielskiej, a nadto kilku osób z niższej klasy pasażerów, nie było nikogo na pokładzie. Angielka i Anglik ustawiwszy swe własne krzesła i zasłoniwszy się wielkim parasolem, zatopili się w czytaniu; my zaś wdaliśmy się w rozmowę z kapitanem Francuzem; dowiedziawszy się, żeśmy Polacy, oświadcza, iż znał „Un comte polonais“ *Branicki*, z którym polował w Afryce na lwy — wysławia odwagę Branickiego i przytacza zdarzenie, jakie mieli oba z krokodylem: chcieli go upolować, i uciekającego do Nilu złapał Branicki za ogon, w tej chwili zwija się potwór i zwraca straszną paszczę ku Branickiemu, dopiero kapitan dzisiejszego stateczka naszego, przypada z innymi i ocala hr. Branickiego! Dziwny zbieg okoliczności, przed trzema laty w Karlsbadzie tę samę historyą opowiadał mi hr. Branicki; wysłuchałam, pobłażając myśliwskiemu opowiadaniu, aż oto dziś w lat parę, zupełnie przypadkowo, na kanale Sueskim, słyszę to samo z ust towarzysza jego wypraw myśliwskich.

(C. d. n.)

---

## JOWISZ DZIEDZICEM.

Jowisz wyprawia śniadanie:
Wódka, bigos, piwo w dzbanie...
Ot, po szlachecku;
Kotka mruczy na przypiecku,
A przy stole sobie siedzą:
Merkury, Pallas, Cerera,
Mars, Dyana, Neptun, Wenera,
Gawędzą i smacznie jedzą.
Jeden Jowisz ciężko wzdycha,
Macha ręką i klnie z cicha.

Wreszcie rzecze: — goście mili,
Jakbyście też postąpili,
Uciąwszy bąka? —
Wszyscy milczą, Jowisz chrząka,
I rzecz swą prowadzi dalej.
— Oto dla głupiej ambicyi,
Zakupiłem wieś w Galicyi;
Bodaj mnie djabli porwali!
Już nie wytrzymam i zginę;
Zaraz wam powiem przyczynę:

Kupiłem — było to z wiosną;
Toż myślę odetchnę sosną;
Jadę więc panie...
Masz sosnę! na przywitanie,
Sprawa — Maciek pobił Jana,
Przewracają się stodoły,
Zdycha mi koń i dwa woły,
Ekonom pijany od rana.
Na polu chwast zamiast żyta,
W izbie leje się z sufita...

Dość, że w ciągu dwóch miesięcy,
Wykładam dziesięć tysięcy,
A po kwartale,
Mam trzy sprawy w trybunale,
Na karku raty bankowe,
Nieopłacone podatki,
I od dodatków dodatki..
W końcu straciłem już głowę,
Ja to przypłacę chorobą!
Radźcie co mam robić z sobą?

Więc Mars wstaje, głos zabiera
I mówi: — głupia afera!
Lud rozpuszczony!
Jabym bił na wszystkie strony.
Biłbym, bił i sypał baty...—
Na to Jowisz: — proszę ciebie,
Sądzisz, że w Austryi jak w niebie;
W Austryi rządzą demokraty!
W Austryi za najmniejsze dozy
Batów, prowadzą do kozy.

— Eh! — przerwie Wenera — sądzę,
Że na wsi grunt — to pieniądze.
Więc w przyszłe lato,
Jowiszu, żeń się bogato. —
Aj! — rzecze Jowisz — zielono
Masz w główce, Wenero miła;
Czy cię pamięć opuściła?
A cóż ja zrobię z Junoną? —
I westchnął jakby miał ranę,
I czule spojrzał na Dyanę...

Ta mówi: — gdybym wieś miała,
Cały dzień bym polowała.
Tak miło w lesie!
Przytem łów i zyski niesie.
Ah! lisy! niedźwiedzie! dziki!...
— Czemuż nie lwy i lamparty! —
Woła Jowisz — wolne żarty!
U mnie, proszę dobrodziki,
Zwierzyna: — w stajni kot bury,
A no i myszy i szczury...

Z kolei Neptun powstanie
I prawi: — grunt — drenowanie.
Tak jest panowie!
Dobrobyt spoczywa w rowie.
Suszyłbym i maczał pola,
Wszędzie zakładałbym rury...
— Zwłaszcza gdy w kieszeni dziury —
Przerwie Jowisz — wolna wola,
Maczaj sobie, gdy masz grosze;
Merkury, powiedz co, proszę.

— Ja powiadam — bez namysłu
Mówi tenże — brak przemysłu.
Znalazłbym racyę,
Na trzy nowe propinacye,
Sprowadziłbym sobie żyda,
I spoił pół Europy.
— Ba! ba! gdyby piły chłopy! —
Rzekł Jowisz — nie piją — bieda!
Cały więc twój projekt — zero.
Może ty co masz — Cerero?

— Ja ci radzę, mój kochany —
Powie Ceres — płodozmiany.
Zmieniaj — buraki,
Żyto, wyka, pasternaki...
To kłosy, to znów łodyga.
— Próbowałem! próbowałem! —
Woła Jowisz — przemieniałem,
Została mi w zysku — figa,
Figa z makiem, na gorąco.
Cóż Pallas dziś tak milczącą?

— Żal mi cię — mówi — żeś struty,
Minerwa — kozłowe buty,
Klucze u boku,
Praca od rana do zmroku,
Tego się chwyć, pójdą sprawy. —
Jowisz westchnął, trudne drogi...—
Mówi — człowiek ma nałogi..
— No, to Jowiszu łaskawy —
Rzecze Pallas — nie ma rady,
Zejdziesz kochanku na dziady.

*M. Rodoć.*

---

# KARTKA MIŁOŚCI.

POWIESC

EMILA ZOLI.

Spolszczyła

**WINCENTA LIMANOWSKA.**

## CZĘŚĆ PIERWSZA.

### I.

Lampka nocna paliła się na kominie; zasłaniała ją książka, której cień zalewał połowę pokoju. Spokojne światło padało na stolik i kanapkę, tonęło w grubych fałdach aksamitnych firanek, migotało w zwierciedle palisandrowej szafy, stojącej między dwoma oknami. Niebieska barwa obicia, mebli i dywanu, harmonijna symetrya pokoju, nadawała mu w mroku nocnym pewien wdzięk mglisty, nieokreślony. Naprzeciw okien, w cieniu, stało łóżko, pokryte również aksamitem; tworzyło ono czarną masę, z pośród której bieliły się tylko prześcieradła. Helena, z rękami skrzyżowanemi, w spokojnej postawie matki i wdowy, lekko oddychała.

Zegar uderzył pierwszą. Cisza głęboka panowała do koła; zdala tylko na te wyżyny Trocadero dochodził głuchy huk Paryża. Oddech Heleny tak był lekki, że pierś nie podnosiła się prawie. Spała snem pięknym, spokojnym i silnym; profil miała regularny, włosy kasztanowate mocno związane; pochyliła głowę naprzód, jak gdyby usnęła przysłuchując się. W głębi pokoju otwarte drzwi prowadziły do przyległego gabinetu.

Nic nie przerywało ciszy. Pół do drugiej wybiło. Chód zegara przyciszony był; wahadło jego zdawało się także poddawać sennej atmosferze, która ogarniała cały pokój. Lampka spała, meble spały; na stoliku, obok zgaszonej lampy kobieca robótka leżała uspiona. Helena miała we śnie wyraz powagi i dobroci.

W chwili, kiedy druga wybiła, w głębi gabinetu dało się słyszeć westchnienie, które przerwało spokój; potem szmer bielizny — potem znowu cisza. Teraz już słychać było ciężki oddech. Helena nie poruszyła się. Nagle się podniosła. Obudził ją głos dziecka nie wyraźnie coś mówiącego i jak gdyby skarżącego się na ból jakiś. Nie zupełnie jeszcze rozbudzona, podniosła ręce do skroni, ale natychmiast zeskoczyła na dywan, usłyszawszy głuchy krzyk.

— Joanno!... Joanno!... co tobie? odpowiedz mi! — pytała.

Dziecko milczało. Pobiegła po lampkę, szepcząc:

— Mój Boże! niezdrowa była, nie powinnam była kłaść się.

Szybko weszła do gabinetu; głucha cisza panowała tutaj. Drżące światło lampki rzucało tylko okrągłą jasną plamę na sufit. Helena, pochyliwszy się nad żelaznem łóżeczkiem, nie mogła zrazu nic rozróżnić. Potem między rozrzuconemi prześcieradłami ujrzała Joannę sztywnie leżącą, z odrzuconą głową, z muszkułami szyi wyprężonymi i twardymi; oczy miała otwarte, utkwione w strzalę, na której firanki były zawieszone.

— Mój Boże! mój Boże! — zawołała — mój Boże! ona umiera!

I postawiwszy lampkę, drżącemi rękami dotykała córki. Nie mogła znaleźć pulsu. Serce zdawało się milczeć. Rączki, nóżki gwałtownie się wyciągały. Szał ją ogarnął; przerażona bezprzytomna wołała tylko:

— Moje dziecię umiera! na pomoc!... Moje dziecię! moje dziecię!

Wróciła do pokoju; sama nie wiedziała co robi, kręciła się na miejscu i trącała o meble. Potem wróciła do gabinetu i znowu przypadła do łóżka, wciąż wołając o pomoc. Wzięła Joannę na ręce, całowała jej włosy, przesuwała ręce po ciele, błagając by przemówiła do niej. Jedno słowo, tylko jedno. Co ją bolało? Może chciała trochę lekarstwa wczorajszego? Może powietrze orzeźwiłoby ją? I upiera się przy tej myśli, że musi jej coś odpowiedzieć.

— Powiedz mi, Joanno, oh, powiedz mi, proszę cię!

— Mój Boże, co tu począć? Tak nagle, w nocy. Nawet światła nie ma. — Myśli jej plątały się. Wciąż mówiła do córki, pytając ją i odpowiadając za nią. To ją tak w żołądku bolało; nie, w gardle. Ale to przejdzie. Trzeba się tylko uspokoić. I starała się zachować przytomność umysłu — ale traciła już prawie, czując na ręku sztywne swe dziecię, leżące w konwulsyach i bez oddechu. Patrzała na nią; usiłowała myśleć i opierała się potrzebie krzyczenia, którą w sobie czuła. Nagle, mimo woli, krzyknęła.

Przebiegła salę jadalną i kuchnię — wołając:

— Rozalio! Rozalio!... Prędko doktora!... Moje dziecię umiera!

Służąca, która spała w małej izdebce za kuchnią, zaczęła wykrzykiwać. Helena wróciła się biegnąc. Była w koszuli tylko i zdawała się nie czuć chłodu nocy, bardzo jeszcze zimnej w lutym. Ależ ta sługa da umrzeć dziecku! Minuta zaledwie upłynęła. Wróciła do kuchni, potem znowu do pokoju. I po omacku, szybko włożyła spodnicę, zarzuciła szal na ramiona. Przewracała meble, gwałtowną swą rozpaczą napełniła cały pokój, gdzie przed chwilą tak głęboka panowała cisza. Potem włożyła pantofle i, pozostawiwszy za sobą drzwi otwarte, zbiegła trzy piętra w tej myśli, że ona tylko jedna potrafi sprowadzić doktora.

Odźwierny pociągnął sznurek, Helena znalazła się za bramą; w uszach jej szumiało, w głowie było pusto. Szybko przebiegła ulicę Vineuse i zadzwoniła do doktora Bodin, który poprzednio już leczył Joannę. Po długim, jak wieczność czasie, służący oznajmił jej, że doktor jest przy łożu rodzącej kobiety. Helena osłupiała. Nie znała innego doktora w Passy. Czas jakiś szła ulicą, patrząc na domy. Zimny wiatr przeszywał ją; szła w pantoflach po śniegu, który upadł z wieczora. I wciąż widziała przed sobą córkę swą i wciąż myślała, że zabije ją, jeżeli nie znajdzie doktora. Wróciła na ulicę Vineuse; tu pochwyciła za dzwonek jakiś; może dostanie adres doktora jakiego. Znowu zadzwoniła, tak długo nie otwierano. Wiatr ociskał jej spodnicę koło nóg i rozrzucał włosy.

Nakoniec służący otworzył i powiedział, że doktor Deberle już w łóżku. Zadzwoniła do mieszkania doktora, a więc niebo nie opuściło jej jeszcze! Popchnęła służącego i weszła powtarzając:

— Moje dziecię, moje dziecię umiera!... Powiedz mu niech przyjdzie.

Wbiegła na piętro, walcząc ze służącym i na wszystkie uwagi jego odpowiadając to tylko, że dziecię jej umiera. Wszedłszy do pokoju, zgodziła się zaczekać. Ale jak tylko usłyszała, że doktor w sąsiednim pokoju wstaje, zbliżyła się do drzwi i przemówiła do niego.

— Natychmiast, panie, błagam pana... Moje dziecię umiera!

I kiedy doktor wszedł ubrany już prawie, ale bez krawatki, nie dała mu jej szukać. Poznał ją. Mieszkała w sąsiednim domu i była lokatorką jego. Kiedy dla skrócenia drogi poprowadził ją ogrodem do drzwi, które łączyły oba mieszkania, nagle przypomniała sobie o tem.

— To prawda, szepnęła, jesteś pan doktorem, i wiedziałam o tem... Widzisz pan, straciłam przytomność... Spieszmy.

Na wschodach chciała, by szedł przed nią. Samego Boga nie byłaby wprowadzała do siebie z większą czcią. Na górze Rozalia czuwała przy Joannie i zapaliła lampę stojącą na stole. Wszedłszy do pokoju, doktor natychmiast wziął tę lampę i zbliżył ją do dziecka nieruchomie wyprężonego; głowa tylko opadła, i twarzyczka drgała raz po raz. Zacisnąwszy usta, nic nie mówił naprzód. Helena patrzyła na niego z niepokojem. Spostrzegłszy ten modlący się do niego wzrok matki, szepnął.

— To nic... Ale nie można jej tutaj zostawiać. Potrzebuje powietrza.

Helena szybkim, silnym ruchem podniosła dziecię. Byłaby ucałowała ręce doktora za to jedno, dobre słowo; balsam pociechy spłynął na nią. Ale zaledwie złożyła ją na swem wielkiem łóżku, biedne ciałko dziewczątka poczęło rzucać się w gwałtownych konwulsyach. Doktor podniósł zasłonę lampy, białe światło zalało pokój cały. Otworzył okno i kazał Rozalii podnieść firanki u łóżka. Helenie znowu serce ścisnęło się niepokojem trwożliwie i szeptała:

— Ależ ona umiera, panie!... Spojrz pan, spojrz!... Jak się zmieniła!

On nie odpowiadał, uważnie tylko śledził objawy paroksyzmu. Wreszcie rzekł:

— Wejdź pani do alkowy i trzymaj ją za ręce, żeby się nie zadrasnęła. Tak, z lekka, nie tak mocno... Uspokój się pani, nie można przerywać paroksyzmu.

I oboje, pochyliwszy się nad łóżkiem, podtrzymywali Joannę, która gwałtownie się rzucała. Doktor zapiął był suknię swą, dla zakrycia gołej szyi. Helena miała na sobie szal, który była zarzuciła na ramiona. Ale Joanna szamocząc się rozwiązała szal i rozpięła suknię doktora. Nie spostrzegli tego nawet. Nie widzieli siebie wcale.

Powoli, chora uspokajała się, ale wpadła w stan wielkiego osłabienia. Doktor zapewnił wprawdzie matkę, co do końca paraksyzmu, pomimo to jednak sam miał minę zafrasowaną. Wciąż spoglądał na chorą, wreszcie zadał kilka krótkich pytań Helenie, stojącej koło łóżka.

— Ile ma lat?

— Jedenaście i pół.

Znowu zamilkł. Potrząsł głową, pochylił się, podniósł zamkniętą powiekę Joanny i popatrzył na błonę. Potem znowu zapytał, nie podnosząc oczu.

— Czy miewała dawniej konwulsye?

— Tak, ale ustały około szóstego roku... Bardzo jest delikatna. Od kilku dni była niezdrowa. Miewała kurcze i chwilami traciła przytomność.

— Czy w rodzinie pani były wypadki chorób nerwowych?

— Nie wiem... Nie wiem... Matka moja umarła z choroby piersiowej.

Zawahała się, wstydząc się wyznać, że prababka jej była w domu obłąkanych. W rodzinie jej częste były podobne tragiczne wypadki.

— Uważaj pani — zawołał doktor — nowy atak.

Joanna otworzyła oczy. Błędnym wzrokiem powiodła dokoła, ani słowa nie mówiąc. Potem utkwiła oczy w jeden punkt rzuciła się w tył, wyciągnęła jak struna i zesztywniała. Była bardzo czerwona. Nagle zbladła, zsiniała, i konwulsye na nowo się rozpoczęły.

— Trzymaj ją pani — rzekł doktor. — Weź ją za drugą rękę.

Podbiegła do stołu, na którym wchodząc postawił był swoją apteczkę. Wrócił z flaszeczką, z której dał dziecku powąchać. Ale skutek był straszny; Joanna rzuciła się tak silnie, że się wyrwała z rąk matki.

— Nie, nie, nie eteru! — zawołała Helena, uczuwszy zapach. — Eter doprowadza ją do szaleństwa.

Zaledwie zdołali ją utrzymać we dwoje. Podnosząc się na piętach i karku, jak gdyby złamana we dwoje, gwałtownie się kurczyła. Potem opadała, i z jednej strony łóżka na drugą przerzucała. Pięście miała zaciśnięte i wielki palec zgięty ku dłoni; chwilami otwierała je i rozszerzając palce, starała się pochwycić coś, coby mogła zgnieść. Natrafiwszy na szal matki, uczepiła się go. Matkę to szczególnie dręczyło, że jak powiadała, nie mogła poznać swej córki. Biedny jej anioł tak łagodną miał twarzyczkę; a teraz wykrzywione rysy, oczy głęboko wpadłe zmieniły ją do niepoznania.

— Zrób pan cokolwiek, błagam pana — wyszeptała. — Nie mam już sił.

Przypomniała sobie właśnie, że córka jednej ze znajomych jej w Marsylii umarła, zaduszona w takim ataku. Może doktor zwodził ją, niechcąc przestraszać. Co chwilę zdawało jej się, że czuje na swej twarzy ostatnie tchnienie Joanny, której ciężki oddech zatrzymywał się często. Wzruszona i przerażona zapłakała ze strachu i z litości zarazem. Łzy jej padały na niewinne ciałko dziecięcia, które odrzuciło wszystko, co ją okrywało.

Tymczasem doktor długimi giętkimi palcami lekko naciskał dół szyi chorej. Paroksyzm złagodniał. Po kilku jeszcze ruchach mniej już gwałtownych, Joanna leżała bezwładnie. Padła na sam środek łóżka z wyprostowanem ciałem, z rękami wyciągniętemi, głowę opartą na poduszce, pochyliła na piersi. Wyglądała jak Chrystus dziecięciem. Helena pochyliła się nad nią i długi pocałunek złożyła na czole.

— Skończyło się już? — zapytała półgło sem. — Jak pan sądzisz, czy paroksyzm powtórzy się jeszcze?

Doktor zrobił dwuznaczny ruch... Wreszcie odpowiedział:

— W każdym razie, następne będą już mniej gwałtowne.

Kazał Rozalii podać sobie szklankę i karafkę. Nalał połowę szklanki, wziął dwie inne flaszki, odrachował krople i z pomocą Heleny, która podniosła głowę dziecka, wlał pomiędzy zaciśnięte zęby łyżeczkę lekarstwa tego. Lampa jasno bardzo paliła się, białem swem płomieniem oświecając nieporządek pokoju, którego meble poprzewracano. Ubranie, które Helena udając się na spoczynek rzuciła była na poręcz fotelu, ześliznęło się i upadło na dywan. Doktor stąpił na gorset, podniósł go, by mu się nie plątał pod nogami. Zapach koszyska (verbena) rozchodził się z rozrzuconego łóżka i z leżącej na meblach bielizny. Całe życie codzienne kobiety, we wszystkich jego szczegółach, a nawet tajnikach, gwałtownie zostało odsłonięte. Doktor sam przyniósł miednicę, umoczył ręcznik i przyłożył go do skroni Joanny.

— Pani zaziębi się — rzekła Rozalia, trzęsąc się od zimna. — Możeby można zamknąć okno. Nadto chłodno.

— Nie, nie — zawołała Helena — zostaw okno otwarte... Nieprawdaż, panie?

Lekki wiatr wciskał się do pokoju i podnosił firanki. Nie czuła tego. Szal nawet zupełnie się zsunął z ramienia, odkrywając górną część piersi. Z tyłu warkocz się rozplótł, i promienie włosów spływały aż do pasa. Podniosła w górę rękawy, odsłaniając nagie ramiona, by mieć większą swobodę ruchów; myśląc tylko o dziecku, zapominała o wszystkiem. A obok niej doktor krzątał się,

nie myśląc również ani o kurtce rozpiętej, ani o kołnierzu od koszuli, który Joanna oderwała.

— Podnieś ją, pani, trochę — rzekł. — Nie, nie tak... Daj mi pani swą rękę.

Wziął jej rękę i sam ją podłożył pod głowę dziecka, któremu chciał dać znowu lekarstwo. Potem przywołał ją do siebie. Posługiwał się nią jak pomocnicą; a ona ślepo go słuchała, widząc, że córka spokojniejsza.

— Proszę tutaj... Głowę jej oprzesz, pani, na swojem ramieniu, a ja słuchać będę.

Helena spełniła rozkaz. Pochylił się nad nią, chcąc przyłożyć ucho do piersi Joanny. Policzkiem swym dotknął nagiego jej ramienia; i badając serce dziecka, mógłby był usłyszeć bicie serca matki, kiedy podniósł głowę, oddech jego spotkał się z oddechem Heleny.

— Tutaj wszystko jak się należy — rzekł spokojnie.

Jej oczy rozjaśniły się.

— Połóż ją pani napowrót. Nie trzeba jej męczyć więcej.

Nowy paroksyzm nastąpił. Był już daleko słabszy. Joanna wyszeptała kilka słów niezrozumiałych. Dwa razy jeszcze w krótkich przerwach paroksyzmy ponawiały się, ale bardzo słabo i natychmiast kończyły. Dziecię tak opadło z sił, że doktor znowu się zaniepokoił. Ułożył ją sam, głowę wysoko; okrył kołdrą aż po szyję i z godzinę jeszcze czuwał nad nią, zdając się czekać, by zaczęła naturalnie oddychać. Z drugiej strony łóżka Helena nieruchoma czekała również.

Powoli rysy Joanny wypogodziły się zupełnie. Płowe światło lampy oświecało ją. Twarzyczka wróciła do dawnego, ślicznego owalu, trochę długiego, ale wdziękiem i delikatnością rysunku przypominającego główkę kozy. Wielkie powieki niebieskawo-przezroczyste spuszczone były, ale musiały być pod niemi ciemne oczy, pełne blasku. Kształtnym noskiem lekko oddychała, na wargach trochę dużych błąkał się uśmiech. I tak spała spokojnie na poduszce, zasłanej włosami czarnymi jak atrament.

— Na teraz skończyło się już naprawdę — rzekł doktor półgłosem!

I odwrócił się, porządkując flaszki i gotując się do odejścia. Helena zbliżyła się w błagalnej postaci.

— Oh! panie — wyszeptała — nie opuszczaj mnie. Zaczekaj jeszcze trochę. A gdyby się paroksyzmy wróciły... Uratowałeś ją pan.

Zrobił znak, że nie ma się już czego obawiać. Został jednak dla jej spokojności. Ona odesłała Rozalię, by się znowu położyła. Wkrótce zaczęło świtać, dzień był łagodny, pochmurny; biały śnieg leżący na dachach odbijał wyraźnie od szarych obłoków. Doktor zamknął okno. Od czasu do czasu, wśród głębokiej ciszy zamieniali ze sobą po słów kilka.

— Nie ma nic ważnego, upewniam panią, — mówił doktor. — Tylko w jej wieku potrzeba wielkiej troskliwości... Musisz pani szczególnie starać się o to, by wiodła życie równe, spokojne, bez wstrząśnień.

Po chwili Helena przemówiła z kolei:

— Ogromnie jest nerwowa i delikatna.... Nie zawsze mam władzę nad nią. Drobnostką jaką nieraz tak żywo cieszy się lub martwi, że mię tem aż niepokoi... Kocha mię z taką namiętnością i taką zazdrością, że się zanosi od płaczu, jeżeli widzi, jak pieszczę inne dziecko.

Potrząsł głową, powtarzając:

— Tak, tak, nerwowa, zazdrośna... Doktor Bodin leczy ją, nieprawdaż? Pomówię z nim; wspólnie się naradzimy nad energicznymi środkami. Dziecko jest w tym wieku, gdzie kwestya zdrowia kobiety rozstrzyga się.

Widząc go tak przychylnym, Helena uczuła się rozrzewnioną.

— Ach, panie, jakże wdzięczną panu jestem za jego dobroć!

Słowa te głośniej wypowiedziała i przestraszyła się zaraz, sądząc, że obudziła tem Joannę. Dziecko spało; śliczna była z rumieńcem na twarzy i uśmiechem na ustach. W mieszkaniu, do którego wrócił spokój, zawisła atmosfera poprzedniej ociężałości. Obicia, meble, odzienie porozrzucane znowu zaczęły drzemać. Wszystko kąpało się i wypoczywało w szarym brzasku dnia, co wpływał do pokoju przez oba okna.

Helena znowu stała z jednej strony łóżka, doktor z drugiej. Między nimi Joanna spała, lekko oddychając...

— Ojciec jej często chorował — przemówiła Helena z cicha, wracając do poprzedniego pytania. — Ja zawsze byłam zdrowa.

Doktor, który dotąd nie patrzał na nią jeszcze, podniósł oczy i nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, widząc ją tak silną i zdrową. Ona uśmiechnęła się także swoim spokojnym uśmiechem. Czuła się szczęśliwą ze zdrowia swego.

On nie spuszczał z niej oka. Nie zdarzyło mu się dotąd spotkać tak skończonej piękności. Słusznego wzrostu, wspaniałej postaci, była to Junona szatynka, szatynka złocista z odcieniem blond. Kiedy powoli obracała głowę, profil jej miał czystość linii posągu. Szare oczy i białe zęby rozjaśniały twarz całą. Podbródek okrągły, trochę duży, nadawał jej wyraz rozsądku i stałości. Wspaniała nagość tej matki szczególnie zadziwiała doktora. Szal osunął się znowu; pierś była odsłonięta, ramiona obnażone. Gruby warkocz koloru połyskującego złota spływał na szyję i gubił się między piersiami. Pomimo spodnicy źle zawiązanej, włosów rozrzuconych i nieporządnego ubrania, zachowała wyraz majestatycznej i wzniosłej godności i skromności; nie rumieniła się wcale pod tem spojrzeniem mężczyzny, który zaczął uczuwać w sobie wielki niepokój.

Ona także popatrzyła na niego. Doktor Deberle miał trzydzieści pięć lat, twarz ogoloną, pociągłą, oko bystre, usta wąskie. Ona z kolei spostrzegła jego nagą szyję. I tak stali naprzeciw siebie oko w oko, a mała Joanna spała między nimi. Ale przestrzeń rozdzielająca ich, przed chwilą jeszcze tak wielka, teraz zdawała się zmniejszać, Joanna nadto lekko oddychała. Helena powolnym ruchem podciągnęła w górę szal i obwinęła się nim; doktor zapiął kołnierz od kurtki.

— Mamo, mamo — wyszeptała Joanna przez sen.

Budziła się. Otworzyła oczy, ujrzała doktora i zaniepokoiła się.

— Kto to? kto to? — spytała.

Matka całowała ją.

— Spij, moja najdroższa, byłaś trochę słaba... To przyjaciel.

Dziecię zdawało się być zdziwione. Nic nie pamiętała. Sen ją morzył znowu; usnęła szepcząc:

— Oh, lulaj, lulaj!... Dobranoc, mateczko... Jeżeli to twój przyjaciel, to będzie i mój.

Doktor schował apteczkę. Ukłonił się milcząc i wyszedł. Przez chwilę Helena słuchała oddechu dziecka. Potem usiadła na kraju łóżka i zadumała się; myśli i spojrzenia poszły w dal. Lampa, którą nie gaszono, bladła, wstydząc się coraz większego dnia. (C. d. n.)

# POGADANKI O WŁOSZECH

Olgi hr. Komorowskiej.

## V.

(*Ciąg dalszy.*)

Bez wątpienia, iż rozstrój ogólny Europy działa na każde państwo z osobna niekorzystnie; niepewność paraliżuje i tu handel, wstrząsa kredytem, we Włoszech zaś więcej może jeszcze niż gdzie indziej z przyczyny tej chwiejności w polityce. Potrzebaby dziś Włochom człowieka z głową i rzadkiemi zdolnościami, aby nieco porządku wprowadzić w sprawy krajowe; bo ci, co parę miesięcy temu obiecywali być chociażby średnimi dyplomatami, po próbie okazują się kompletnemi zerami, a co się tyczy wewnętrznej administracyi, ta co dnia bardziej się wikła a niezadowolenie rośnie.

Cudzoziemców, podróżnych, tego roku bardzo było niewielu, co rzewnie opłakują hotelarze, kupcy i ci, co żyją tą spekulacyą; więc na pociesenie zamykają domy i jadą na wieś, bo koło jedwabników krzątać się zaczynają. Jest to bardzo ważna chwila we Włoszech, zwłaszcza że od kilku lat, pomimo że rok rocznie z Chin i Japonii sprowadzają nowe nasienie, raczej straty ponoszą, nie wiadomo dobrze z jakiej przyczyny; i produkcya jedwabiu o wiele się zmniejszyła. Widok takiej „casciny“ w Liguryi, Piemoncie, Lombardyi, lub Emilii, gdzie głównie chów jedwabników na wielką skalę prowadzonym bywa, jest wielce ciekawym w tej porze roku; cała bowiem staje się obszerną siedzibą tych brzydkich a tak użytecznych owadów. W izbach szczelnie zamkniętych, na umyślnie urządzonych półkach, w ocieplonej sztucznie atmosferze na papierowej pościeli, spoczywają drobniuchne jajeczka, dalej wykłuwające się gąsieniczki, którym za pożywienie służą morwowe młodziutkie listki posiekane; co dnia pokarm staje się obfitszym, brzydkie wyziewy wzmagają się i chrzęst nieustanny jedzących podwaja się, wzrasta. Przed domami hoże dziewuchy lub szkaradne stare baby obierają liście, na targach po miastach sprzedają je worami, po drzewach wśród pól rzędami sadzonych chłopaki rwą gałęzie, wozy ładowne niemi skrzypią, dowożąc w dziedziniec, a wszystko to w mgnieniu oka przechodzi do żołądków rosnących szybko gąsiennic. Pan domu, dzieci, służba, wszystko w ruchu, wszystko się krząta; nakoniec opróżniają się półki i zastępują wiązkami wrzosów w szpalery ustawionych, na których jedwabniki poczynają zwijać swoje kokony. Chrzęst ustaje a uwaga ogólna zwraca się na owe szpalery. Zapominają pić i jeść, o niczem się nie mówi jako o przyszłym zbiorze, liczy, waży w myśli, a przeszłoroczny zawód przypomnieniem rozbudza nowe obawy. Tegoroczna zima niezwyczajnie łagodna, każe wnosić wiosnę chłodną i dżdżystą, szkodliwą bardzo dla jedwabników.

Pola, łąki, wzgórza, umajone tysiącami kwiatów. Po ogrodach kwitną laury, pomarańcze, róże, heliotropy, gwoździki; wonieją glicynije i konwalie. Pnące się różyczki białe, żółte, bladoróżowe, pstrzą się wśród zieleni, a pszczoły po kwitnących kasztanach i akacyach przelatują rojami. W powietrzu wonie cudnej słodyczy, zmysły upajające, mieszają się, zlewają harmonijnie i lecą w lazurowe niebiosa, ginąc w przestrzeni. Wiosna tu nie ma tego charakteru smętno wdzięcznego, pełnego tajemniczych szmerów przyrody

*

budzącej się z uśpienia, odsłaniającej wstydliwie swe skarby jedne po drugich, lecz jest rozkoszną bachantką, rzucającą na świat wszystkie razem szczodrze, z obfitością rozrzutną prawie. Jarzyny, co u nas zaledwie w lipcu znaleźć można, tu już od pierwszych dni kwietnia wszędzie widać, groch starzeć się zaczyna, szparagi przechodzą, poziomek pełno, nefle żółcieją po drzewach i pachną w słońcu, wiśnie rumienią się zalotnie i zdobią stoły wszystkich ogrodniczek, chociaż to dopiero drugiego maja. A jednak pośród tych woni i miłego widoku darów hojnej przyrody, tęskno północnemu sercu za owemi szarzejącemi się zaledwie wierzbami, co swe długie warkocze kąpią w cichych wodach po dolinach, za owymi gajami dźwięczącymi pieśniami słowika, co jeszcze cienia znaleźć prawie nie może, by pod nim ukryć swe młodzieńcze miłostki. Winna latorośl wyciąga swe rozkoszne ramiona, nad polami, gdzie zboże już w kłos wystrzeli niebawem, przepiórka w niem wabi tak jak po naszych łanach, a skowronki ulatują pod obłoki, radując się pieśnią. Ostatnie bzy dokwitają spiesznie, by nie spłonąć w objęciach ognistego słońca, a mieszkaniec tych krzewów, słowik tutejszy, to nie perski róż kochanek, ale bardzo nędznego gatunku ptaszek. Śpiewa on wprawdzie i wieczór nieco, ale spioch z niego i nie wzdycha długo do bladej Dyany, lecz idzie spać wcześnie jak stary urzędnik, włożywszy szlafmycę, i chętniej w dzień wygłasza swe namiętne strofy skrzydlatej towarzyszce, zasłuchanej w jego ukochanym głosie.

Włosi, z małymi wyjątkami, są bardzo obojętni na wdzięki przyrody, nawykli bowiem do niej; owych zachwytów właściwych nam mieszkańcom północy pojąć nawet nie mogą, szczególniej w południowych i środkowych Włoszech. Ligurya, Piemont, Lombardya, bardziej do nas gustami są zbliżone. Lud prosty w tych prowincyach hoduje kwiaty w doniczkach, a więksi właściciele nie rzadko osobiście pielęgnowaniem rzadkich roślin się zajmują. Ogrodnictwo jednak jest jeszcze na niskim stopniu, zadawalniają się tem, czego ziemia udziela bez starania prawie; Florencya i Genua najwięcej ze wszystkich miast hodują rzadsze krzewy i rośliny; Genua słynie swemi kameliami, rzec by można rzeczywiste gaje z nich posiada i pysznych gatunków. A właśnie w tym kraju tak łatwo by było tworzyć sztucznie najprzeróżniejsze rodzaje, co dziko rosną wśród pól, łąk i lasów, z pomocą tej hojności gruntu uprawiać i ulepszać, gdyż każda roślina zaledwie do lepszej, ogrodowej ziemi przesiedlona, wnet tężeje i bujną się staje. Rezeda tu się zasiewa w gruncie jesienią, i zimą kwitnie wraz z bratkami, fiołkami, hyacyntami, tacetami i wanillą; w lecie dla spieki hodować jej nie podobna. Gieranie rosną dziko po skałach, ale pięknych poprawnych pelargonii nie mają wcale, fuksye jednak bywają różnorodne i niesłychanie bujne; ostatnią nowością widzianą przez nas w tym rodzaju, była cytrynowa z pąsowem w paski, śliczna, poczwórna fuksya wychowana bardzo starannie. Azalie w tej chwili w kwiecie najwięcej pusto i zwyczajne, rododendrony rzadkie i nędzne, za to w lipcu kwitnące gardenie są przecudne, a obfitość ich w niektórych ogrodach wraz z magnolią czyni powietrze prawie narkotycznem.

Może właśnie te bogactwa darów Flory i Pomony, czynią tych Włochów obojętnymi na nie; żywią się przeważnie owocami w lecie, gdyż skwary dokuczliwe nie dozwalają prawie innego cięższego pożywienia; ale owe śliczne wonne pomarańcze jedzą z równą obojętnością jak zielone strączki bobu, surowe selery, karczochy, pory, białą cebulę, zawsze surowe w oliwie maczając, brzoskwinie, figi gryzą również jak suszone nasienie z dyni, lub groch stary w słonej wodzie moczony, a kasztany obierane i w piecu na kość wyschłe uważają nawet za przysmak.

(Dok. nast.)

---

## Piśmiennictwo polskie.

(*Listy Jana Śniadeckiego w sprawach publicznych od 1788 do 1830. Wstęp i przypiski J. I. Kraszewskiego. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego.*)

Michał Baliński, ożeniony z synowicą Jana Śniadeckiego, córką Jędrzeja, w Pamiętnikach o Janie Śniadeckim, wydanych w Wilnie 1865, zgromadził ogromny materyał do życiorysu tego znakomitego męża. Dziś do tego materyału przybywają jeszcze nowe listy i każdy kto odczyta te dwa dzieła, może sobie jak najpełniejsze wyrobić pojęcie i o samej postaci Jana i o tle, na którem się ta postać poruszała.

Postać to w istocie imponująca swoją pracą, energią, wykształceniem, wpływem i powagą, a to tem więcej, że całe znaczenie swoje zawdzięczała tylko własnym zdolnościom i pracy.

Jeżeli Hugo Kołłątaj jest w Polsce najwyrazistszym przedstawicielem rewolucyjnego, reformatorskiego ducha, który przy końcu ośmnastego wieku objąwszy płomieniem Francyą, wielką łuną przyświecał innym krajom Europy, to Jan Śniadecki najlepiej reprezentuje wpływ potężnego wzrostu nauk ścisłych i przyrodniczych na zachodzie. Nie było u nas współcześnie człowieka, któryby się pod względem nauki mógł mierzyć z Janem Śniadeckim; przyznawali mu to wszyscy współcześni, wszystkich oczy były na niego zwrócone, jako na najwyższą i najświetniejszą gwiazdę naukową, jaka na horyzoncie polskim świeciła. Obce akademie, wysoko ceniąc astronomiczne prace naszego uczonego zapraszały go nadaremnie do siebie. Akademia krakowska tracąc go w. r. 1803, straciła główną siłę swoją, i odtąd coraz bardziej zaczęła podupadać. Akademia wileńska przez kilka lat dobijała się o pozyskanie krakowskiego astronoma, a pozyskawszy go, oddała mu zaraz najwyższy swój urząd, rektorstwo, urząd, który mu dawał władzę nie tylko nad uniwersytetem, ale i nad wielu szkołami na Litwie i Rusi. Rozprawa Śniadeckiego o Koperniku, odczytana 16. listopada 1802 na posiedzeniu towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie była ogromnym wypadkiem i elektrycznie podziałała na umysły. W liście Czackiego, pisanym nazajutrz po posiedzeniu, czuć jeszcze wrażenie chwili. „Tysiące usta powtarzają twe imię ze czcią i wdzięcznością! Dzień wczorajszy był jednym z dni pięknych narodu. Cztery godziny trwało posiedzenie; mnich i elegantka, uczony i prostak, jurysta i matematyk, równie słuchali, równie się rozrzewniali... Głębokie milczenie tłoku przerywane tylko było czasem mimowolnym wyrazem podziwienia".

Mógł słusznie być Jan Śniadecki przedmiotem podziwu dla współczesnych rodaków nie tylko z powodu swej wiedzy i prac w zakresie nauk ścisłych, ale i z powodu różnostronności swego wykształcenia. Nie należał nasz astronom do uczonych, co jednemu wyłącznie poświęciwszy się przedmiotowi, dla innych są zupełnie obojętni. I owszem wszystko go żywo interesuje, cokolwiek się pojawi nowego na polu piśmiennictwa i oświaty narodowej, czy to rozprawa Brodzińskiego o romantyczności, czy filozofia Kanta wprowadzana przez Szaniawskiego, czy Historya literatury Bentkowskiego, i we wszystkich tych i podobnych sprawach słychać głos jego, nie zawsze bezwzględną słuszność mający za sobą, ale zawsze poważny i zawsze stosujący do rzeczy traktowanej przez siebie tę jasność i trzeźwość, jaką się odznaczał umysł jego, na ścisłych naukach wykarmiony. Przedewszystkiem interesował się czystością języka polskiego i nieraz zażarcie występował w jego obronie, bynajmniej nie oszczędzając tak wysoko postawionych osób, jak Staszic, prezes Towarzystwa Przyjaciół nauk, lub wizytator Czacki. Rzucał się nawet nasz astronom do rozpraw historycznych, gdy tego wymagała nagląca potrzeba wystąpienia w obronie godności narodu. Oto będąc w r. 1804 w Paryżu spotkał się tam z dziełem Karola Villers: „O duchu i wpływie reformy Lutra", świeżo uwieńczonem przez Instytut paryski, a w obelżywy sposób traktującem naród polski w najświetniejszych jego czasach, bo w Zygmuntowskich. Oburzony nieuctwem i niegodziwością uwieńczonego autora i akademii, natychmiast odpowiedział na to dzieło broszurą francuską, która jakkolwiek sama, jako pisana na prędce i bez źródeł, nie była wolną od niektórych historycznych omyłek, dała przecież porządną odprawę Francuzowi.

Największe jednak może prawo do podziwu współczesnych i wdzięczności potomnych zjednać powinna Śniadeckiemu praca jego na polu wychowania publicznego. Po pierwszym powrocie z zagranicy (1782) został Śniadecki sekretarzem uniwersytetu krakowskiego i prawą ręką Kołłątaja w reorganizacyi Akademii i wszystkich szkół od niej zawisłych. Była to praca olbrzymia, której tylko tak żywotne natury, jak Kołłątaja i Śniadeckiego, podołać mogły. Po upadku konstytucyi 3go maja zwycięzka Targowica sięgnęła zbrodniczą rękę po fundusze edukacyjne, byt akademii był zagrożony, potrzeba ją było ratować, i oto Śniadecki jedzie do Grodna na sejm rozbiorowy 1793 i wśród niezliczonych mozołów ocala, co tylko można było ocalić. Po trzecim rozbiorze, gdy Kraków przeszedł pod władzę Austryi, znowu widzimy Śniadeckiego krzątającego się, tym razem w Wiedniu, około ocalenia znów zagrożonego jeżeli nie bytu, to narodowego charakteru akademii. Dwudziestoletnie zabiegi i starania najrozmaitszego rodzaju obok pracy profesorskiej i autorskiej, i obok badań naukowych a wśród klęsk narodu, które jednej nocy pokryły przedwczesną siwizną głowę Śniadeckiego, musiały zużyć i stargać nawet tak żelazną energię, jak jego, a przecież po niedługim odpoczynku widzimy go znowu stojącego na czele akademii wileńskiej i znów przez lat kilkanaście gorliwie prowadzącego wespół z Czartoryskim i Czackim dzieło wychowania na Litwie i Rusi.

Listy Jana Śniadeckiego, wydane obecnie, odnoszą się przeważnie do tej ostatniej strony działalności znakomitego tego męża, to jest do zabiegów i prac jego na polu wychowania publicznego. Wydawca podzielił je na pięć części: 1) na listy od r. 1788 do 1792 2) listy z r. 1793 3) z 1794, 4) z 1796 i 5) mające tytuł „z Wilna", tytuł o tyle niewłaściwy, że pierwszy w tym

dziale list datowany jest z Krakowa 1803 na cztery lata przed objęciem rektorstwa w Wilnie.

Najobfitsze są dwa pierwsze działy. Pierwszy dział obejmuje listy do Januszewicza, starającego się podówczas w Warszawie o katedrę prawa na akademii krakowskiej, a także kilka listów do Kołłątaja i księcia prymasa. W r. 1788 Śniadecki był świeżo po powrocie z drugiej swojej podróży za granicę i nie pełnił już urzędu sekretarza akademii. Rektorem już od r. 1786 nie był Kołłątaj, ale Oraczewski, figura śmieszna, zawdzięczająca to wysokie stanowisko zabiegom kobiet, nędznej tragedyi pod tytułem: „Zwycięstwo pod Orszą“ i niezłej znajomości francuskiego języka, która wiele wówczas znaczyła.

Nie mając dostatecznej dla takiego stanowiska nauki, chciał nadrabiać pozą, a nietaktownem postępowaniem zraził sobie wszystkich dzielniejszych ludzi w akademii. Utworzyła się w łonie akademii czyli szkoły głównej opozycya, poczęły się niesnaski, które się opierały o komisyą edukacyjną w Warszawie i jej prezesa księcia prymasa. W liście swoim z 11 maja 1788 pisząc o szkole głównej powiada Śniadecki, że obrady jej zamieniły się na schadzki, szykany, głupstwa i nieroztropności, osoby więc „najwięcej swą radą i pracą przysługające się zgromadzeniu“, musiały się od nich oddalić. „Gruba nieuwaga i gwałtowność jednego człowieka upojonego kredytem i protekcyą warszawską na takie monstrum przerobiła dziś całe zgromadzenie, żebyś go nie poznał.“ Tym człowiekiem jest śmieszny następca Kołłątaja, Oraczewski, którego dosadną charakterystykę zawiera list z 19 października 1788: „Pan Oraczewski będąc ciemny we wszystkiem, a chcąc się okazać coś robiącym, ma partykularną predylekcyą do sesyi. Składałby je codzień na najśmieszniejsze fraszki, gdyby mu kto chciał na nie chodzić. Przed wakacyami nudząc ustawicznie osoby sesyami, nie przyzwoicie zwoływanemi, nawet komponując umyślnie takie interesa, które do szkoły głównej wcale nie należały: siedział po kilka godzin jak bałwan nic nie zrobiwszy, a czas osobom gubił, tak że nakoniec na te sesye nikt nie chciał przychodzić, co go niezmiernie gryzło.“ Duszą opozycyi przeciw takiemu rektorowi był Śniadecki. Jego to opozycya wysłała 1789 do Warszawy z zażaleniami do komisyi edukacyjnej, która nareszcie postanowiła nie tylko załatwić sprawę między Oraczewskim a profesorami, ale całkowicie naprawić zepsutą machinę szkolną.

Wszystkie inne listy tego działu, z wyjątkiem niektórych listów do Januszewicza w drobnych sprawach prywatnych, zajęte są prawie wyłącznie sprawami akademii. Chodzi w nich to o uznanie wydatków poczynionych przez akademią na instrumenta naukowe, to o utrzymanie zarządu nad szpitalem, do którego władza biskupia zaczęła rościć pretensye, to o tym podobne rzeczy. Wszystkie tego rodzaju sprawy szły do komisyi edukacyjnej, która jej nie zawsze rozstrzygała ku zadowoleniu Śniadeckiego, ten zaś tak żywo brał do serca interes publiczny, że kiedy w sprawie szpitala nadeszła z Warszawy dwuznaczna rezolucya, nie czyniąca zadość słusznym zażaleniom akademii, to pisze on (12 lut. 1792) do Januszewicza: „Głowa mnie boli, bo mnie ten interes okrutnie zgryzł, całą noc nie spałem; gdybym wszystko stracił, tobym podobno przykrzejszej impresyi nie czuł; tak jest nieszczęśliwy mój temperament.“ Co się tyczy komisyi edukacyjnej, to sąd Śniadeckiego o niej nie był zbyt pochlebny. Pisze on do Kołłątaja (21 maja 1791): „Ciężko będzie tę registraturę uczynić rozważnie i przez siebie czynną, jeżeli do niej raz wybrane osoby tak jak dotąd zawsze będą zasiadać, jednych to nudzi, drudzy innemi pracami roztargnieni, nie mogą rozdzielić swej uwagi do tak ważnej części rządu krajowego, a trzeci są dla figurowania: najlepiej to JWM. Pan Dobrodziej znasz, że komisya raz jest śpiąca prawie, drugi raz czynna, ale zawsze wywracając to, co postawiła i nie trzymając się nigdy ciągłego i mocnego systematu w robotach“.

Z trzech listów do Kołłątaja umieszczonych w tym dziale dwa były już drukowane w Pamiętnikach Balińskiego, ale z opuszczeniem niektórych ustępów, prawdopodobnie z powodu cenzury wileńskiej. (Dok. nast.)

---

## OD WYDAWNICTWA DZIEJÓW POWSZECHNYCH SZLOSSERA.

W Ostatnim (135) zeszycie „Dziejów powszechnych Szlossera“, który właśnie opuścił prasę, zamieściliśmy następujące sprawozdanie z przychodu i rozchodu:

| | | | |
|---|---|---|---|
| *Rozchód* 1550 ryz papieru, licząc przeciętnie po 7.50 za ryzę . | 11.662 | 50 | |
| Druk 810 arkuszy, licząc przeciętnie po 17 złr. za arkusz druku | 13.770 | — | |
| Honoraryum tłumaczom po 10 złr. | 8.100 | — | |
| Wydatki na honorarya, na przedruki do Warszawy, korekty tychże, korekty drukarskie etc. . . | 770 | — | |
| 135 okładek zeszytowych, papier i druk po 8 złr. . . . | 1.080 | — | |
| 22 okładek tomowych po 20 . | 440 | — | |
| Broszurowanie zeszytów przeciętnie po 6.50 . . . . | 877 | 50 | |
| Broszurowanie tomów przeciętnie po 25 złr. . . . . | 550 | — | |
| Prospekta, afisze, anonsy w Galicyi, w Warszawie i Poznaniu w ciągu lat sześciu . . | 1.700 | — | |
| Drobne wydatki . . . | 175 | — | 39.125. |
| *Przychód.* Weszło do handlu Księgarni Polskiej 22 tomów po 1550 egzemplarzy razem tomów 34.000 czyli netto . . . | 47.600 | — | |
| Z tego pozostaje na składzie 17.820 tomów . . . . . | 24.948 | — | |
| Uzyskano gotówką . . . | 22.652 | — | |
| Sprzedano do Warszawy 250 egzemplarzy kompletnych oraz 103 niekompletnych razem tomów 5.700, co zamieniwszy na walut. austr. z uwzględnieniem kursu | 6.804 | — | 29.456. |
| Niedobór pokryty przez Księgarnię Polską wynosi . . . . . . | | | 9.669. |

Ograniczamy się tymczasowo na podaniu tych głównych cyfr — skoro zaś uregulujemy się z zaległą prenumeratą i będziemy w możności korzystniejszy rezultat ogłosić, nie omieszkamy podać do publicznej wiadomości rachunku szczegółowego.

Posiadamy na składzie jeszcze 17.820 tomów, które reprezentują kapitał 24.948 złr. Z tego jednakże tylko 420 jest kompletów, co czyni tomów 9240 i reprezentuje kapitał 12.936 złr. Jest to kapitał pewny, którego uzyskanie nie przedstawi trudności i spodziewamy się cały ten zapas sprzedać do Warszawy, skoro tylko horyzont polityczny cokolwiek się wypogodzi. Pozostałe zaś 8.580 tomów wartości 12.012 złr. są to tomy zdefektowanych egzemplarzy. Większa połowa bowiem prenumeratorów dotąd kontynuacyi nie odebrała, już to z powodu śmierci jednych już to dla ciężkich czasów niektórzy musieli przerwać a przynajmniej zawiesić prenumeratę, już to nakoniec wielu jest takich, którzy kontynuują odbiór dalszych tomów i z czasem zaległości wyrównają; liczymy, że połowa przynajmniej tych zaległości wpłynie.

Mamy więc nadzieję, że jeżeli nie cały kapitał 24.948 złr., które reprezentują zapasy, to przynajmniej $^{3}/_{4}$ tego kapitału da się uzyskać.

Przedewszystkiem zwracamy się z prośbą do prenumeratorów, którzy rozpoczęli prenumeratę a takowej jeszcze nie dokończyli, aby zechcieli pospieszyć z dalszymi wkładkami i umożliwili Księgarni Polskiej wycofanie swego kapitału, który już od lat kilku bez procentu jest w to wydawnictwo zaangażowany na pokrycie niedoboru, pochodzącego z zaległości. Gdyby bowiem prenumerata była regularnie wpływała, nie byłoby niedoboru, owszem posiadalibyśmy już gotówką około 3 tysięcy złr. Prosimy ich o to, tem bardziej, że w ich to ręku jedynie spoczywa możność osiągnienia większych lub mniejszych korzyści na cele oświaty ludowej; to jest na główny cel, dla którego to wydawnictwo podjęliśmy i tyle trudności i kosztów łożyliśmy.

Prenumeratorów, którzy pobierali dzieło to w innych księgarniach, a którym te księgarnie kontynuacyi zaniedbały dostarczyć, upraszamy o zgłoszenie się (jak najrychlej) wprost do *Księgarni Polskiej* zkąd w cenie prenumeracyjnej i bez policzenia za tom 22 (jako przy pierwszym przedpłacony) resztę tomów otrzymają.

Nie możemy już dalej ani jednego egzemplarza z zapasów ryzykować i nowi prenumeratorowie, którzy chcą to cenne dzieło nabyć, mogą otrzymać takowe albo płacąc od razu za komplet 55 złr. albo odbierając przynajmniej po 1 tomie na miesiąc, poczynając od tomu 22, a kończąc na tomie 1.

Dziękujemy szanownym prenumeratorom za zaufanie, jakiem nas obdarzyli, a wspierając wytrwale przez lat sześć prenumeratą, umożliwili regularne wydawnictwo i doprowadzenie w oznaczonym czasie druku do końca. Lista prenumeratorów, dołączona do ostatniego zeszytu, zawiera tysiąc kilkaset nazwisk.

Dziękujemy szanownym redakcyom za poparcie nam udzielone, a przedewszystkiem redakcyi „Gazety Narodowej“, „Dziennika Polskiego“, „Dziennika Poznańskiego“, „Kuryera Poznańskiego“, „Prawnika“ i „Przeglądu lekarskiego“, jak niemniej redakcyom pism warszawskich.

Niejednokrotnie dały się słyszeć skargi na zbyt pobieżne traktowanie dziejów Polski i wogóle dziejów ludów słowiańskich w dziele Szlossera. Skargi te były słuszne, wszakże uważaliśmy za stosowniejsze nie naruszać tekstu dorywczą łataniną, lecz chcieliśmy zaradzić, uzupełniając ten dział pracą gruntowną i zwróciliśmy się w tym celu do jedynie kompetentnego autora p. Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża), z prośbą o napisanie wyczerpującego podręcznika dziejów ludów słowiańskich, jako uzupełnienie dziejów powszechnych. Pan Miłkowski już od lat paru nad tem dziełem pracuje, nie mógł jednakże ukończyć swej pracy w czasie, aby bezpośrednio po ukończeniu druku Szlossera mogła być oddaną do druku, gdyż całe dzieło potrzebuje źródłowo opracowywać, nie mając w tym dziale poprzedników. Skoro praca ta będzie gotową, ogłosimy ją drukiem, a spodziewamy się, że to nastąpi z nowym rokiem.

Dla wypełnienia przerwy między drukiem Szlossera a historyą Słowiańszczyzny, drukujemy w b. r. w Bibliotece historycznej, trzy dzieła inne, a mianowicie M. Gralewskiego *Kaukaz.* Peschla *Historya odkryć geograficznych* i Reppla *Dzieje Polski,* które łaskawym względom publiczności polecamy.

15. czerwca 1878.

Księgarnia Polska
Lwów 14. plac Halicki.

---

# TYDZIEŃ LWOWSKI.

*Lwów dnia 4. lipca.*

Mimo to, że ogórki jeszcze nie dojrzały, a uczniowie gimnazyów nie pokończyli matury, we Lwowie zapanował już prawdziwy sezon ogórkowy — czas wakacyi umysłowych — słowem jałowizna i posucha dla kronikarzy, gorsza od plagi egipskiej. Popis szkoły muzycznej, który wytrzymał amatorów wśród tropikalnego ciepła do godziny dziewiątej wieczór, dobił energią i ruchliwość Lwowian; opuścili oni skrzydła, odetchnęli całą piersią i powiedzieli sobie: dosyć tej muzyki! Zapewne, że na ten sezon byłoby dosyć i wartoby tym nieszczęśliwym fortepianom

także dać wakacye, choćby na sześć tygodni. Tłuczone przez cały rok boży dwiema i czterema rękami, kopane nogami, biedne te męczennicy odwołują się do miłosierdzia swych tyranów, do czego łączymy i nasze błagania, my wszyscy napompowani muzyką daleko skrupulatniej niż nowy aparat Edisona, konserwujący głos na odległe czasy. Jak owi nieszczęśliwi robotnicy w kopalniach merkuryusza, których ciało do tego stopnia przejęte jest tym metalem, że przez potarcie palcem amalgamować mogą miedziane przedmioty, tak i mieszkańcy Lwiego grodu mogą się uważać za chodzące katarynki, na których nawet bez nakręcania grać można ad libitum. Proszę tylko nie brać tego w innem allegorycznem znaczeniu. Nie, szanowni Lwowianie, pod każdym innym względem nie pozwolimy sobie nikomu nietylko grać, ale nawet brzdąkać pod nosem. Narobimy tyle krzyku, wrzawy i innych tego rodzaju ekscesów, że najodważniejsi napastnicy muszą się schować co najmniej to do Krakowa. W Przemyślu nawet dosięga ich odgłos naszej wrzawy. Jeden tylko Kraków staje przeciw nam hardo, ale my i jego powoli ujeździmy.

Wszelkie festyny, po wyczerpaniu takich przyjemności, jak Olimpijskie igrzyska i losowanie żywego konia — kompletnie zbladły. Czas byłby doprawdy, żeby ta plaga niby ospa jaka przestała grasować epidemicznie. Ani festyn w ogrodzie Strzeleckim z oświetleniem ogrodów Semiramidy, ani gonitwy i skoki młodych sokoląt lwowskich na Pohulance nie potrafiły rozruszać poczciwego ludu naszego, festyny się przejadły, zobaczymy, jak się uda pochód humorystyczny zapowiedziany na niedzielę.

Zapuszczając wieszczy wzrok w daleką i bliską przyszłość, niestety nie widzę nic takiego coby mogło mi dać materyał ożywczy dla kronik następnych, chyba aż w połowie września, kiedy spodziewany przyjazd Najjaśniejszego pana do Lwowa przyjdzie do skutku, a sejm krajowy zasiędzie na ławach sali w teatrze Skarbkowskim. Tymczasem cisza, postanowienia berlińskiego kongresu przeplatane obiadami, na których zajada się ćwiartki poczciwej tureczczyzny, jak ongi przed stu laty naszej Polski, jakoś uciszają się w junackich umysłach naszego grodu. Wziąwszy Hercogowinę i Bośnię mamy zabezpieczone tyły na wszelki wypadek, kwestya tylko czy przód fizyognomii naszej potrafimy skutecznie obronić. Jeżeli na kim, to na Turcyi sprawdziła się sentencya owej bajeczki, gdzie to wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły, a kongres berliński bardzo przypomina sejm grodzieński. Brakuje tylko dział zatoczonych przed pałacem Radziwiłowskim i poczciwego Rejtana. Przepraszam jeszcze i płaczu cesarzowej, choć zdaje się cesarzowa indyjska przygotowała sobie już kilka chustek do tej operacyi.

Nie mając o czemś lepszem marzyć we Lwowie, zapuszczamy wzrok ducha w cyfry zawieranych małżeństw, szukając tam wskazówki umoralnienia się płci brzydkiej. Z tej cyfry widzimy jedno, że matrymonialne skłonności powiększyły się w tym roku we Lwowie o wielki procent w porównaniu z r. 1877, i że starsza generacya daleko chętniej kładzie swą łysą głowę pod ewangelią, bo najwięcej znajdujemy ochotników do żeniaczki w wieku od lat 24 do 30, potem od 30 do 40, potem od 40 do 50, a dopiero po nich idą młodzieńcy przed skończeniem 24 roku życia. Co do kobiet, to statystyka nie podaje szczegółowo wieku aspirantek, zapewne z tego powodu, że te ciągle stoją pod bronią, nie wiedząc dnia ani godziny. Cieszcie się więc obywatele, opatrzeni zapasem córek na wydaniu, a korzystając z mojej wskazówki przepędzajcie młodzików nie mających statystycznego średniego wieku lat trzydziestu siedmiu, bo na tych jako przeciętnie uzdolnionych do stanu małżeńskiego najpewniej liczyć można.

W ostatniej chwili pisania naszej kroniki spadają na horyzont lwowski trzy cuda, ale to prawdziwe cuda. Jeden w okolicach ś-go Jura, gdzie u pewnej wdowy nagle bez pomocy artysty odnowił się obraz Matki Boskiej, drugi przy ulicy Zimorowicza, gdzie w ten sam sposób odświeżony został obraz Chrystusa Pana „Ecce homo.“ Tłumy pobożnej ludności cisną się do tych cudownych obrazów, jeden już nawet odniesiono do kościoła ś-go Jura. Cudowne odnowienia te podług sprawozdań reporterów dziennikarskich potrzebują bliższego rozpoznania, nim fakt cudowności da się potwierdzić, lecz co do trzeciego cudu, o którym zaraz powiem, rzecz została już należycie wyjaśniona.

Istnieje tu pewne pismo we Lwowie podobne do owej rzeki w pustyniach Sahary bez początku i końca. Zkąd się wzięło i gdzie ginie, pokazując się czasami niektórym osobom, trudno odgadnąć. Lecz mniejsza o jego rodowód i akta zejścia, cudowność tego piśmidełka leżała w tem, że nie siejąc ani orząc, jak owi ptacy niebiescy żyło, a nawet umieszczało bogomazy w kształcie niby portretów znakomitości tutejszych. Otóż bez zwoływania kongregacyi beatyfikacyjnej, bez prowadzenia śledztwa duchownego, odkryte zostało źródło życia tyle pożytecznej publikacyi. Zabrudzony drągal z ramienia redakcyi dzień w dzień roznosi listy do rożnych osób z propozycyą umieszczenia ich portretu w następujących numerach. Do propozycyi tej dołączona jest skromna prośba o nadesłanie bagatelnej kwoty 30 zł. reń. na koszta.. Oto jest cały sekret istnienia, nowość wydawnicza oparta na wzajemnej pomocy.....

*
* *

(*Szkoły niedzielne dla czeladników*). Za tydzień odbędzie się doroczny walny zjazd Towarzystwa pedagogicznego, tym razem w nowym Sączu, który gościnnie otworzył dłoń swoje wrota.

Pomiędzy kwestyami, które mają być wniesione na posiedzenia tegorocznego zjazdu, niepoślednie miejsce powinna zająć kwestya urządzenia szkół niedzielnych dla czeladników.

Istnieją po miasteczkach szkoły niedzielne dla terminatorów rzemieślniczych, gdzie ci ostatni otrzymują pierwsze początki oświaty, i mógłby kto myśleć, że możnaby w nich połączyć terminatorów z czeladnikami, jako nie wiele wyżej od nich wykształconymi. Tymczasem praktyka przekonywa, że to jest rzeczą niemożliwą. Różnica wieku i stanowiska pomiędzy terminatorami a czeladnikami jest tak znaczna, że ci ostatni wolą utracić korzyści oświaty, wolą nawet w szyderstwo obracać naukę terminatorów, niż zasiąść pospołu z nimi do nauki.

A nie tylko próżność i ambicya czeladników stawia przeszkody temu połączeniu, są i inne powody zupełnie godne uznania. Oto innej nauki potrzeba dla starszych, umiejących już zwykle czytać i pisać czeladników, niż dla znacznie młodszych terminatorów, rozpoczynających zwykle naukę od abecadła. Inaczej trzeba przemawiać do ludzi dorosłych, niżeli do dzieci.

Sfera czeladzi rzemieślniczej jest dotychczas zupełnie zaniedbana. Czas wielki zająć się nią, a jeżeli na kim ciąży ten obowiązek, to przedewszystkiem na Towarzystwie pedagogicznem.

## BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Dzierżkowski Józef.* Powiastki 8-ka str. 247. Lwów 1878. 60 ct.

— *Horwat Jerzy.* Dwór i dworek. Powieść 8-ka str. 135. Warszawa 1878. 85 ct.

— *Kraszewski J. I.* Upior. Opowiadanie przy kominku. 8ka str. 54. Lwów 1878 60 ct.

— *Kraszewski Kajetan.* Chełmianie. Opowiadania z lat 1792 – 1796. 8ka str. 255. Warszawa 1876. 1 zł. 70 ct.

— *Lam Jan.* Rozmaitości i powiastki. 8ka str. 245. Lwów 1878 2 zlr.

— *Małachowski hr. St.* Wspomnienia o jenerale hr. Pacu.' 8ka str. 21. Poznań 1878. 65 ct.

— *Konopacki Szymon.* Chronologia dziejów królestwa polskiego dla młodego pokolenia. Edycya druga z poprawą i dodatkami z tegoczesnych autorów czerpanemi. Tom I. 8ka str. 194 z policzeniem za tom II. Poznań 1878. 7·80 ct.

Księgarnia Polska posiada pierwsze wydanie 2 tomy. 3·20 ct.

— *Nabielak Ludwik.* Ludwik Kicki, jenerał wojsk polskich (1790 – 1831) 8ka str. 45. Poznań 1878. 98 ct.

— *Ostatnie lata dziejów powszechnych* 1848—1875. 8ka str. 285. Lwów 1878 1·50 ct.

— *Roterdamski Erazm.* Pochwała głupoty. Deklamacya czyli próba krasomowska z dodaniem dwóch listów Erazma do Marcina Durpiusza i Tomasza Morusa czyli rozmów, Epikurejczyk, Senacik, Swit, Trzeźwa uczta i Frydyryka Platnera mowy na obronę pieniaczy, z łacińskiego przełożone i przypiskami objaśnione. 8ka str. 659. Lwów 1875 3 zlr.

— *Skarbek Fr. hr.* Pamiętniki. 8ka str, 821. Poznań 1878. 3·90 ct.

— *Śpiewnik polski* zeszyt I. 16ka str. 96. Lwów 1878. 20 ct.

Na lepszym papierze 30 ct.

— *Tyszkiewicz hr. Eustachy.* Króla Stanisława Augusta ostatni pobyt w Grodnie. 8ka, str. 189. Poznań 1878.

— *Wspomnienia* z pielgrzymki do ziemi świętej. 8ka, str. 254. Petersburg 1878. 1 zlr.

## Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literatura, sztuka i nauka.

*** *Dziejów powszechnych Szlossera* tom 22 (ostatni) opuścił już prasę i zawiera: Anglia do roku 1839 — Półwysep Pirenejski do regencyi Espartera — Grecya od zamordowania Hrabiego Capo d'Istria — Wojna Mehemeda Alego z Portą — Rosyjska i angielska polityka na Wschodzie — Niemcy do r. 1840 — Sprawa kolońska i ruch w dziedzinie religijno-kościelnej — Rewolucya lutowa, drugie cesarstwo we Francyi i jego przewaga w Europie — Rewolucya we Włoszech — Rewolucya w Niemczech, Austryi i Prusach — Rewolucya w Węgrzech — Ruchy rewolucyjne w Polsce 1848 r. — Wojna krymska — Wojna włoska — Sprawy pozaeuropejskie — Powstanie w Polsce w 1863 r. — Sprawa szlezwicka — Wojna prusko-austryacka i austryacko-włoska — Sprawa luksemburska — Wojna francusko-niemiecka — Komuna paryzka — Rozrost socyalizmu w Niemczech — Ważniejsze wypadki dziejowe od 1870 do 1875 r. — Prześladowanie narodowości polskiej w zaborach rosyjskim i pruskim — Galicya — Emigracya polska — Kolonizacya polska w Ameryce.

Lista prenumeratorów na Dzieje powszechne Szlossera. Od wydawcy.

*** *Praktyczny hodowca królików, ras uszlachetnionych drobiu i wszelkiego ptactwa domowego.* Pod tym tytułem rozpoczął wychodzić dwutygodnik w Brodach pod redakcyą Antoniego Popiela. Nr. 1 z dnia

1 lipca 1875 r. zawiera: Od redakcyi (słowo wstępne) — Hodowla drobiu — Hodowla królików — Kronika. Pożytek z jaj kurzych w świecie przemysłowym — Korespondencya — Ogłoszenia. Prenumerata półroczna 1.50 ct.

*** *Pośrednie podatki* i położenie klas pracujących. Ferdynanda Lassalla obrona przed król. sądem fiskalnym w Berlinie, z powodu oskarżenia o jawne wywoływanie w proletaryacie nienawiści i pogardy ku klasom zamożnym. Przełożył K. W. Lwów 1878 r.

— *Kapitał i praca*, czyli pan Bastiat Szulce z Delicza, Julian ekonomiczny. Przez Ferdynanda Lassalla Przełożył K. W. Lwów 1878. Wydanie na pamiątkę 400 letniej rocznicy urodzin Kopernika.

Życzącym poznać zasady socyalizmu, polecamy powyższe dwie rozprawy Lassalla, który był szczerym socyalistą, a prace jego dają możność dokładnego poznania celu i zasad tego, tak dziś imponującego na obu półkulach stronnictwa.

*** Dnia 16. czerwca komisya konkursowa krakowska odbyła ostatnie swoje posiedzenie. Brali w niem udział pp. Estreicher, Kłobukowski, Koźmian, Sokołowski, Szukiewicz, ks. Marceli Czartoryski i Zathey. Odczytano jednoaktową komedyą Pokusa, oraz obraz ludowy w czterych aktach Uroki; poczem przystąpiono do głosowania za pomocą kartek. Nagrody 500 złr. za najlepszą sztukę ludową, jak to opiewały warunki konkursu, nie przyznano żadnej sztuce. W głosowaniu nad zaleceniem do grania, obraz dramatyczny ludowy w 4 aktach „Uroki“ otrzymał 5 głosów, z których jeden z zastrzeżeniem: „nadać formę wodewilową i znacznie skrócić“ — a drugi z uwagą: „warunkowo“. Komisya uznała, iż sztuka „Uroki“ zalecona została do grania, pod warunkiem, że zostanie znacznie skrócona, i że będzie jej nadana forma wodewilowa. Po odpieczętowaniu koperty okazało się, iż autorem obrazu ludowego "Uroki“ jest p. Julian Łętowski, zamieszkały w Krakowie. Komisya orzekła, że w tym roku nie będzie szczegółowego sprawozdania z konkursu. Następnie na wniosek p. Koźmiana, komisya oznaczyła warunki konkursu na rok 1879, przeznaczając na nagrodę pozostałą sumę 500 złr. Warunki te są następujące: 1. Nagrodę 500 złr. otrzyma najlepsza sztuka bez względu na rodzaj, zapełniająca cały wieczór i mająca najmniej trzy akta. 2. Komisya orzecze, które sztuki z nadesłanych winny być polecone do grania, a te otrzymają 10% tantyemy do czystego dochodu, jeżeli się autor zgodzi. 3. Nadsyłać sztuki należy pod adresem: „Dyrekcya teatru krakowskiego“ aż do .. marca 1879 roku. 4. Rękopisma nieczytelne nie będą uwzględnione. Członkami komisyi na rok 1879 są panowie Estreicher, książę Czartoryski, Koźmian, Artur hrabia Potocki, Józef Rychter, Kłobukowski, Sokołowski, Szukiewicz i Zathey.

### MONUMENTA POLONIAE PRAEHISTORICA.

1. Komisya archeologiczna Akademii umiejętności przystępuje do publikacyi pt. „Monumenta poloniae praehistorica“, mającej zawierać jak najdokładniejszy opis zabytków przedhistorycznych i wykopalisk, odkrytych i zbadanych na ziemiach polskich, a dotąd wcale nie, lub tylko pobieżnie opisanych, a to niezależnie od rozpoczętego już i mającego się nadal wydawać systematycznego wykazu tychże, według porzeczy.

2. „Monumenta“ wychodzić będą seryami. Każda serya obejmować ma zabytki i wykopaliska jednego jakiego bądź obszaru archeologicznego ziemi polskiej bez względu na granice etnologiczne lub polityczne, dawne lub obecne.

3. Życzeniem jest, aby pojedyńcze serye mogły następować po sobie, w pewnym porządku geograficznym, lub innym według naprzód ułożonego planu; gdy jednak nasze obszary nie w jednakim są stopniu zbadane, ztąd przeto konieczność nakazuje zacząć od obszarów najlepiej opracowanych i następnie po kolei przechodzić do tych, które w danej chwili będą posiadały materyał najobfitszy i najodpowiedniejszy naukowemu zadaniu wydawnictwa.

4. Każda serya „Monumentów,“ o ile możności przedstawić powinna:

a) Na pierwszem miejscu, wszelkiego rodzaju zabytki przedhistoryczne z ich wykopaliskami, które na danym obszarze były w całości zbadane w sposób systematyczny i umiejętny.

b) Na drugiem miejscu, wykopaliska przypadkowe z tegoż obszaru, znajdujące się w muzeach publicznych i zbiorowych, miejscowych lub dalszych.

5. W tym celu każda serya składać się będzie z nieograniczonej liczby zeszytów, a każdy zeszyt z 10—15 tablic litografowanych w formacie in 4-to (Pamiętn. Akad. Um.) z dodaniem stosownego tekstu.

6. Tablice, litografowane rylcem lub kredką przedstawiać będą:

a) Mapę archeologiczną danego obszaru, ze znakami międzynarodowemi, oraz innemi, według potrzeby ustanowionemi

b) Plany sytuacyjne, przekroje i w razie potrzeby wizerunki zabytków przedhistorycznych (grodzisk, mogił, cmentarzysk, grobów itp.)

c) Wierne rysunki zabytków, ugrupowane podług wykopalisk z których pochodzą, lub według rodzaju przedmiotów, jeżeli są wykopaliskami przypadkowemi.

7. Tekst pagina fracta po polsku i po francusku zawierać będzie:

a) Na początku seryi: rys archeologiczny odnośnego obszaru z treściwym opisem znajdujących się tam zabytków; wiadomość o zbiorach publicznych i ważniejszych prywatnych; nakoniec plan rzeczy mających się zawierać w tej seryi.

b) Przy każdym zeszycie, który zawierać będzie miejscowe zabytki i wykopaliska jednego rodzaju, jako słowo wstępne, podane będą stósowne uwagi archeologiczne o tym przedmiocie.

c) Przy każdej tablicy, objaśnienie przedstawionych na niej przedmiotów, ze szczególnemi w razie potrzeby o nich uwagami.

Według tego planu i stosownie do uchwały Komisyi archeologicznej Pierwszą Seryą Monumentów mają stanowić Prusy Królewskie, a mianowicie zabytki zbadane w tej prowincyi przez P. Godfr. Ossowskiego, z wykopaliskami nagromadzonemi przeważnie w Muzeum Tow. Przyj. Nauk w Toruniu i znajdującemi się w rozmaitych zbiorach prywatnych i publicznych. Dodatek do tej seryi stanowić będzie dawne Pomorze polskie tj. znajdujące się tam Grodziska i Stacye nabrzeżne.

Przedmiotem drugiej Seryi Monumentów, może być albo sąsiednia Wielkopolska, albo połud. kraniec Ziem Polskich, tj. Pokucie i Podole po Zbrucz przynajmniej. Do pierwszego obszaru, materyały są już dość obficie nagromadzone w Zbiorach poznańskich i krakowskich; dopełnionoby je kilku systematycznemi poszukiwaniami, mającemi na celu skupienie i uporządkowanie zdobytych materyałów na faktycznej podstawie, mielibyśmy przedmiot zupełnie dojrzały do przedstawienia w naszych „Monumentach.“ Za obszarem Pokucko-Podolskim, przemawia ten wzgląd naukowy, że wcześniejsza znajomość zabytków przedhistorycznych tej okolicy, nacechowanych właściwem piętnem bliższego i dłuższego wpływu cywilizacyi greckiej i włoskiej, przyczyniłaby się do należytego później zrozumienia i ocenienia innych obszarów archeologicznych naszej ziemi.

Materyały do tego obszaru odnoszące się, a pochodzące, bądź z systematycznych poszukiwań rozpoczętych przez Akademię Umiejętności, bądź z wykopalisk przypadkowych, posiadamy już w zbiorach krakowskich i lwowskich; a zanim pierwsza serya zostanie ukończoną, muszą się one we dwójnasób pomnożyć. Ostatecznie, chociaż dziś nie możemy oznaczyć z pewnością, co mianowicie wypadnie z porządku podawać w „Monumentach,“ nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że przedmiotu do nich nie zabraknie i że przedsięwzięcie wydawnictwa na jednej seryi zatrzymać się nie może.

Owszem, mamy wszelkie powody spodziewać się, że pierwszemi już zeszytami tej publikacyi zjednamy jej takie uznanie i poparcie ze strony archeologów naszych i obcych, że to nam otworzy wstęp do zbiorów warszawskich, litewskich i kijowskich i dopomoże do przeprowadzenia tej publikacyi do końca, tj. po wszystkich obszarach archeologicznych Ziem Polskich.

### PRUSY KRÓLEWSKIE.

Serya pierwsza, „Zabytki historyczne Prus Królewskich“ opracowane przez G. Ossowskiego, składać się będzie z 3 lub 4 zeszytów.

1 zeszyt zawierać, będzie 8 planów i 6 tablic z rysunkami wykopalisk, a mianowicie: Mogiły kamienne w Brodnicy Górnej, Buchwałdzie i Nawrze (3 plany i 2 tablice) i początek cmentarzysk z grobami skrzynkowymi, tj. 2 cmentarzyska w Gościeradzu i 1 w Skurczu (planów 5 i tabel 4).

2. zeszyt będzie zawierał dalszy ciąg cmentarzysk skrzynkowych, a mianowicie: w Jabłówku, Klocu, Jaryszewie, Obasie i td. (planów 4 i tabl. 11).

3. zeszyt zawierać będzie, koniec cmentarzysk skrzynkowych: Koleczkowo, Wielka-Wieś, Chłapowo (tabl. 2); kamienie ustawione (planów 1 tabl. 3); popielnice odosobnione (plan. 1, tabl. 1) i wykopaliska przypadkowe: narzędzia kamienne, bronzowe i żelazne (tabl. 7). Razem w tym zeszycie planów 2, tablic 13.

4. zeszyt dodatkowy zawierać będzie zabytki z Pomorza; ilość planów i tablic jeszcze niewiadoma.

Cała serya składająca się z gotowych już 3 zeszytów zawierać będzie 14 planów i 30 tablic.

Program ten wydawnictwa „Monumentów“ przedstawiony przez profesora dr. J. Kopernickiego, a wypracowany przez niego wspólnie z pp. J. N. Sadowskim, G. Ossowskim i M. Sokołowskim, Komisya archeologiczna Akademii umiejętności przyjęła w zupełności na posiedzeniu odbytem dnia 20. maja 1878 r., poleciwszy wymienionym tu członkom swoim, aby pod przewodnictwem prof. Kopernickiego zajęli się jego wykonaniem.

### Stowarzyszenia.

*** Towarzystwo oszczędności i zaliczek w Cieszynie miało zeszłej niedzieli zgromadzenie w sali Bazaru Cieszyńskiego, na którem odczytano protokół, przyjęto sprawozdanie z przeszłorocznej czynności, udzielono Dyrekcyi absolutoryum, uchwalono dywidendę dla członków 7 od sta, a resztę dla funduszu rezerwowego, uchwalono częścią uznanie za zasługi, częścią pieniężne wynagrodzenie dla zarządów filii w Jabłonowie i Frysztacie, i odnowiono wybory dyrekcyi i rady nadzorczej.

## PO BITWIE.

### EPIZOD.

Walka co tylko skończyła się. Moskale odparci od Plewny, cofają się w nieładzie. Noc zapada powoli i czarną krepą zasłania męczarnie i rozpacz dwudziestu tysięcy rannych. Na niebie ani jednej gwiazdki. Czarne chmury pędzą ku Bałkanom, gnane coraz przykrzejszym i silniejszym wiatrem północnym.

Placówka turecka zajęła wzgórze, na którem niedawno straszna rzeź miała miejsce. Zdala rozlegają się jeszcze wystrzały dział z redut tureckich, a przerwy chwilowe zapełniają odgłosy ręcznej broni. Jeszcze chwila — nastaje cisza złowroga, cisza tak przerażająca na polach walki, szumiąca jękiem i złorzeczeniami dogorywających, błagalnemi głosy rannych, ostatniem westchnieniem napróżno wzywających pomocy i ratunku.

Jakkolwiek zwycięzcy, Turcy również w niezbyt świetnem znajdują się położeniu; przez mundury w łachmanach, ostry wicher dotkliwem zimnem przejmuje skostniałe ich członki. Rozpalili ognisko i biwakują w około orzeźwiających płomieni.

Z po za nich dochodzą głuche jęki i westchnienia jak grób głębokie.

Skuleni przed ogniem żołnierze palą w milczeniu fajki, rozmyślając o dniu przebytym i o poległych towarzyszach. O kilka kroków odzywa się głos błagający:

— Pić!

Zachmurzone oblicza żołnierzy zwracają się mimowolnie w stronę zkąd głos doleciał, lecz któż wśród grobowych ciemności zdoła odszukać umierającego, wzywającego kropli wody, a wykrzyk którego był zarazem ostatniem może jego tchnieniem?

* * *

Nagle jakaś rzecz niezwykła, daje się odczuwać w około placówki. Pewne głosy stają się wyraźniejsze i bardziej przeciągłe. Wprawne ucho odgaduje ruch jakiś pomiędzy rannymi zalegającymi pole.

Szmer przyśpieszonych oddechów, i gwałtowne westchnienia, zdradzają wytężenie sił. Tu i owdzie jęk przerywa milczenie. Nie ulega już wątpliwości, że ruch ten cały zwrócony jest w kierunku placówki; z każdą chwilą staje się on wyraźniejszy.

Najodważniejsi z żołnierzy powstają i usiłują wzrokiem przebić czarną tę chmurę, ukrywającą jeszcze w swem łonie nieodgadnioną tajemnicę. Ale w obec bezskuteczności swych usiłowań, padają napowrót, niezdecydowani

z ręką wspartą na broni, z okiem niespokojnem i bacznie nadstawiając ucha.

Ale oto jakaś wynędzniała postać ukazuje się w promieniu światła. To Moskal ranny, jęcząc, przysuwa się na kolanach i podpierając łokciami. Ręce jego krwi pełne, pierś przestrzelona. Turcy nieżyczliwie nań spoglądają.

Skoro poczuł ogień, śmieją się oczy i usta jego, choć zęby mu dzwonią i cały trzęsie się w śmiertelnej febrze.

— Oddal się! — zawołał jeden z nizamów.

On nie dosłyszał czy nie zrozumiał może. A zresztą w stanie w jakim się znajduje, cóż go to obchodzi, choćby go i dobili? Posuwa się zwolna, przybliża do ogniska, co go nęci światłem i ciepłem ku sobie, a potem kładzie się z westchnieniem zdającem się mówić:

— Ah! jak tu dobrze umierać!

Ale nie on sam jest tylko. I inni jak on spostrzegli ogień i ostatnich sił dobywają aby czemprędzej rozgrzać jeśli nie ciało to ręce przynajmniej.

To tak okropnie umierać na gołej ziemi, w krwi kałuży, wśród ciemnej nocy, wśród zimna, a umierać z myślą, że najlżejsza pomoc uratowałaby nam może życie!..

* * *

Straszny to był obraz tych bladych postaci wydobywających się z łona ciemności, a po kilku chwilach w takiej nagromadzonych liczbie, iż czuwający żołnierze spoglądali na siebie z niepewnością, czy będą dość silni aby ich odpędzić, lub bić się z nimi w razie konieczności.

Oficer dowodzący szczupłym tym oddziałem, dzielny był człowiek. Niewymowne uczucie litości ogarnęło go na widok tylu nieszczęśliwych, spragnionych światła i ciepła; zrozumiał przytem, że widok podobny najdzielniejsze nawet serca może rozczulić, rozkazał przeto ściągnąć wysunięte warty, i za chwilę ze wszystkimi swymi ludźmi usunął się o kilkaset metrów na prawo.

Przed oddaleniem się wszakże, okazał tyle przezornej troskliwości, że polecił żołnierzom dorzucić kilkanaście polan do ogniska aby wystarczyło na noc całą.

* * *

Z jakiemże upojeniem rozkoszy spoglądali ranni na oddalającą się placówkę turecką! nieszczęśliwi mieli zostać panami placu i ognia.

Z pałającemi oczyma, z otwartemi usty, wszystko co tylko zachowało cokolwiek siły, porusza się, tłoczy i czołga ku ognisku. Na zakrwawionej swej drodze, napotykają odrażające przeszkody: to inni ranni, którzy ich odtrącają, to trupy które przebyć potrzeba.

Najprzód było ich czterech czy pięciu, potem dziesięciu, dwudziestu, potem stu. Któż zdoła wypowiedzieć, ile wysilku, ile energii zużyć oni musieli, aby wspierając się na pokaleczonych nogach i rękach, przeczołgać się na brzuchu i piersiach do upragnionego celu! Ilu ich zmarło wśród drogi? Ilu musiało zatrzymać się w rozpaczy, nie mogąc posuwać się dalej!..

Przeszkody te jednak nie przerwały ogólnej wędrówki; kto mógł podążał na przerażający ten sabbat.

Blade twarze rannych tem bledszemi jeszcze wydawały się przy świetle ogniska. Potargane ich brody, włosy krwią zlepione i błotem, podobniejszymi ich czyniły do mar obydnych aniżeli do ludzi.

Ale za to jaki blask w oczach, jaka radość na twarzy, gdy już stanęli u celu podróży! Jedni dziękują Bogu, pewni że już są ocaleni; inni nie myśląc już o niczem, padają przy ognisku i zasypiają snem kamiennym.

Zwolna jednak zebranie staje się tłumnem. Napływ świeżo przybywających trwa ciągle. Już pierwsze szeregi w około ogniska przepełnione.

Ci uważają się do najszczęśliwszych wybrańców losu; tak im ciepło i błogo!

W samej rzeczy, mają się czego cieszyć!

Większa część ich, przed chwilą jeszcze, zdecydowaną była na śmierć nieuchronną. Opuszczeni, zrozpaczeni, zapomnieni, mieli umierać bez pomocy, bez pociechy.

A oto nagle iskierka nadziei zabłysła w ich duszy. Wmawiali w siebie, że tam gdzie są ludzie, tam znajdzie się ratunek, ocalenie może! Niestety! zapomnieli nieszczęśliwi, iż tegoż samego dnia, wszędzie gdzie byli ludzie, była walka tylko i śmierć dla nich!

Tłum zwiększał się więc stopniowo; jakby z przypływem morza, coraz nowe fale ohydnych zakrwawionych postaci tłoczyły się na biwak opuszczony przez żołnierzy....

* * *

Na nieszczęście, nie trudno było przewidzieć, co musiało nastąpić. Wkrótce miejsca zabrakło. Siedzący w pierwszym szeregu z głowami wspartemi na kolanach rozkoszowali się, w błogiej zatopieni ekstazyi.

W drugim szeregu można się jeszcze było dobrze ogrzać i nikt się też nie skarżył.

Trzecie koło jako tako jeszcze korzystało ze zdobytego stanowiska.

Ale dalsi, następni?..

Ci, którzy mogli utrzymać się na nogach, widzieli głownie z daleka i zazdrościli szczęśliwcom znajdującym się bezpośrednio przy ogniu, do nich bowiem ciepło już nie sięgało.

Po za nimi wreszcie cała tłuszcza za późno przybywających, skazana na dokuczliwe zimno, wyrzekała, protestowała złorzecząc i grożąc, a cisnąc się naprzód stawała się coraz niebezpieczniejszą.

Tyle bo przebyli niesłychanych przeszkód, tyle wysiłków dokonali, niektórzy z nich z tak daleka przyczołgali się tutaj, i po to tylko, aby w takich samych jak poprzednio marznąć ciemnościach; nic dziwnego też, że w oczach ich wydawać się musiało ohydną niesprawiedliwością, iż ktoś inny zajął im najlepsze miejsca.

I podczas gdy ze wszech stron zaczęły się podnosić skargi i obelgi przeciw uzurpatorom, ci groźnie zwracali się ku burzliwym tłumom, gotowi siłą bronić zdobytych stanowisk.

Ah! nikomu tu ani przez myśl nie przeszła kwestya wschodnia, upozorowana niby oswobodzeniem uciemiężonych Słowian; co kogo obchodzić mogły Turcya i Moskwa, Plewna i Szypka, Bałkany i Dardanele?! Szło o to aby nie umrzeć z zimna, to była prawdziwie paląca kwestya.

Żądni ciepła wyciągali drżące swe ręce ku światłu, błagając zlitowania, gotowi wybuchnąć gniewem wrzącym w ich piersi.

Niezadługo nadeszła chwila, w której dalsze szeregi zaczęły z nieprzepartą siłą tłoczyć się na siedzących bliżej ogniska. Niebezpieczeństwo było groźnem. Jeszcze chwila, a owi wybrańcy losu, bez miłosierdzia wepchnięci w ogień, żywcem się spalą, uniknąwszy śmierci na zimnie.

Straszna ta myśl dodała najsłabszym nawet sił i energii. Wszyscy, albo prawie wszyscy — wielu z nich bowiem spało jak zabici — podnieśli się aby się bronić lub też uciekać przed grożącem im całopaleniem.

* * *

Nacisk trwał ciągle, ciągle wzmagając się, a chociaż był on powolny, jako pochodzący od ludzi osłabionych utratą krwi, nie mniej przeto był zatrważającym.

Równocześnie i opór stawać się musiał zacieklejszym, rozpaczliwym. A wówczas ci nieszczęśliwi, którzy znajdowali się w pośrodku, napróżno błagając o litość i względy dla swych członków pogruchotanych, dla jątrzących się ran, padali zgnieceni, zduszeni, zdeptani nogami tłoczącej się ciżby.

Nieubłagany egoizm jedynym był tu panem. Oficerowie zawadzali tak samo jak prości szeregowcy; każdy myślał tylko o samym sobie.

Gniew, nienawiść, trwoga szalona opanowała wszystkich.

Pomiędzy rannymi znajdowało się wielu Turków, ale Moskale zdaje się byli liczniejsi. Tamci, czując się zwycięzcami w stoczonej dzisiaj walce, utrzymywali, że gdyby nie Moskale, wystarczyłoby miejsca dla rannych Mahometan.

Moskale ze swej strony, toż samo myśleli o Turkach.

Jedni i drudzy mierząc się podejrzliwem okiem, wymyślając i grożąc już sobie wzajemnie, zbierali broń walającą się po ziemi.

A światło płonącego stosu dziwnym blaskiem oświecało tę ponurą scenę. Jakiż widok okropny! Wszyscy ci kalecy, o bezwładnych rękach, z pokaleczonemi czaszkami, z piersią obnażoną i krwią zalaną, co przed chwilą zaledwie poruszyć się zdołali, jakby odżyli na nowo galwanicznem życiem pod tchnieniem pożerającej ich nienawiści i zemsty.

Moskale lub Turcy zbyteczni są na biwaku. Jedni albo druszy *muszą* być odpędzeni. To rzecz nieunikniona, zdecydowana.

Widok ran u przeciwników, przejmujący ich dotąd wzajemnym wstrętem, stał się miłym obecnie, zapowiadał bowiem łatwe zwycięstwo.

W tej chwili jeden piechur moskiewski schylił się, aby głownię, która potoczyła się mu do nóg, wrzucić napowrót do ogniska.

Ale ruch ten jego fałszywie został zrozumiany.

Turcy posądzili go, że głowni tej chce użyć jako broń; jeden z nich porwał nadłamaną szablę i ciął nią w głowę przeciwnika, wołając:

— Ałłach! Ałłach!

* * *

To było hasłem. Głuchy ryk rozległ się w powietrzu. Rzucili się na siebie z wściekłością i wszczęto walkę zaciętą, piekielną.

Oprócz połamanych karabinów i szabel, walczący nie mieli innej broni. Wielu i tego nie znalazło. Ale po co broń! Rzucili się na siebie, chwytali za gardła, gryźli, szarpali i dusili jeden drugiego.

Gorączkowy stan, w jakim wszyscy prawie znajdowali się w skutek ran podczas bitwy odniesionych, zamienił się obecnie w prawdziwe szaleństwo, w szał zaraźliwy, ci bowiem, którzy nie mieli sił podnieść się, chwytali innych za nogi, bili ich i szarpali, dopóki sami nie zostali w zamęcie walki zdeptani.

Najbujniejsza wyobraźnia nie zdoła nic ohydniejszego przedstawić. Była to iście szatańska walka oświecona słabym już blaskiem dogasającego ogniska. Ręce i nogi krzyżowały się, bijąc i kopiąc, bito i kopano nawzajem. Niekiedy zrywał się jeden z walczących, podnosił w górę pięść zaciśniętą, jakby olbrzyma chciał nią pokonać i nagle, nie przemówiwszy ani słowa, padał martwy u stóp tego, któremu groził. Inni, mocując się w śmiertelnym uścisku nienawiści, staczali się na dogorywające głownie, zrywali się razem i znowu padali aby już więcej nie powstać...

Zwolna szeregi zaczęły się przerzedzać. Większa część leżała bez życia. W powietrzu unosił się przykry odór spalonego ciała; niewielkiej zaledwie liczbie powiodło się uciec; tu i owdzie w czterech czy pięciu grupach walczyli jeszcze najzawziętsi, wydając okrzyki, które nie miały w sobie nic ludzkiego.

Nareszcie walka ograniczyła się do kilkunastu rannych, niedługo ona już trwała. Jeszcze jedno hurra! jedno Ałłach!... jeden jęk ostatni......

Wszystko napowrót pogrążyło się w ciszy i ciemnościach nocy. Ogień zagasł zupełnie, ów ogień, dla zdobycia którego odbyła się ta krwawa orgia. Zwycięzcy i zwyciężeni, żywi i umarli, spoczywają obok siebie, wśród przeraźliwszego jeszcze niż poprzednio zimna......

*Kamil Debans.*

## Od Redakcyi.

**Wny Pan J. D. w Ostrzeszowie.** Prosimy o wymienienie, które numera Pan życzy sobie nabyć? Możemy wysłać za pobraniem pocztowem.

**Treść Nr. 45.** str.



Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.